



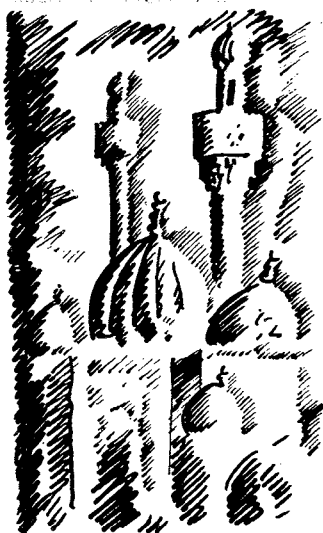
PRZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 16 (55)

NIEDZIELA 25 KWIETNIA 1943 R.

CENA 20 FLS



ŻOŁNIERZE!

W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO SKŁADAM WAM Z GŁĘBI SERCA PŁYŃĄCE ŻYCZENIA I WYRAZAM NAJGŁĘBSZE PRZEKONANIE, ŻE PRZY POMOCY WSZECHMOCNEGO Z NASZEJ KRWI, MĘKI I OFIAR, ORAZ STAŁEJ WOLI ZWYCIĘSTWA ZMARTWYCHWSTANIE WIELKA I SZCZĘŚLIWA POLSKA.

DOWODCA ARMII POLSKIEJ
NA WSCHODZIE

ANDERS WŁADYSŁAW
gen. dyw.



(TYTUŁ SKONFISKOWANO)

Dnia 12 kwietnia b. r. radio niemieckie podało komunikat o odkryciu pod Smoleńskiem masowych grobów oficerów polskich, w których znaleziono około 10.000 zwłok w stanie daleko posuniętego rozkładu, natomiast w pełnym umundurowaniu.

Według wiadomości z Londynu radio sowieckie oficjalnie zaprzeczyło tej informacji.

Pragnęliśmy temu uwierzyć, pragnęlibyśmy z całego serca i dlatego zapytujemy: Coście z Nimi zrobili?

Co zrobiliście z 8.300 oficerów armii polskiej oraz z 6.000 oficerów i szeregowych policji, którzy do kwietnia 1940 r. znajdowali się w obozach jenców wojennych w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie? Jeżeli wiadomość podana przez Niemców jest kłamstwem, to znaczy — prawdą jest, że są oni u was, gdzieś w niezmiernych przestrzeniach ZSRR i żyją — może nie wszyscy — może znaczna część ich zginęła wskutek mrozów, chorób lub pracy nad siłę — lecz pozostali żyją!

Powiedzcie nam, że tak jest w istocie, powiedzcie gdzie Oni się obecnie znajdują i dlaczego dotąd nie zostali wypuszczeni na wolność?

Wówczas uwierzemy, że komunikat niemiecki jest kłamstwem. Innego wyjścia nie ma. Nie jest bowiem do pomysłenia żeby taka ilość ludzi, nie kilku, lub kilka dziesiątków, ale blisko 15.000 ludzi mogło przepaść bez wieści i aby wszelki ślad po nich zaginął.

Nie zapadli się przecież pod ziemię, ani nie rozplynęli się w eterze.

W tym okresie w r. 1940 ZSRR żadnych działań wojennych nie prowadził. Aparat administracyjny NKWD, któremu podlegały obozy jenców, funkcjonował normalnie. Ewidencja jenców prowadzona była z dużym nakładem pracy i kosztów. Sporządzono w obozach cały szereg wykazów imiennych. Jeden spis alfabetyczny, drugi spis według stopni, trzeci według zawodów i wreszcie ostatni — w marcu 1940 r. według województw, w których jenci zamieszkiwali przed wojną. Dla każdego z jenców była założona oddzielna teuszka, w której znajdowały się wszelkie dane dotyczące jego osoby, a więc fotografiz w 3 egzemplarzach, arkusz ewidencyjny, protokół badania lekarskiego itd. Słowem ewidencja pierwszorzędna.

Zresztą do kwietnia 1940 r. w wyżej wymienionych obozach jenci mieli względnie dobre warunki egzystencji. Wyżywienie było dostateczne; baraki chociaż prymitywne, jednak stosunkowo czyste i ciepłe; epidemii nie było; mundur na ogół były jeszcze w dobrym stanie. Istniała komunikacja listowa i telegraficzna z krajem; były radio, gazety i nawet kino.

I naraz wszystko się urwało i 15 tysięcy ludzi przepadło bez wieści — razem z całą ewidencją!

Stało się to w kwietniu 1940 r. — a jak się stało, opowiem.

W pierwszych dniach tego miesiąca rozpoczęła się tzw. „razgruzka”, czyli rozładowanie wszystkich trzech obozów drogą ekspedycyjną z każdego obozu grup jenców liczących 65—260 osób wagonami więziennymi, mieszczącymi przepisowo po 65 osób (a więc 1—4 wagoniarz dziennie). Rozładowanie obozów trwało około miesiąca. Począwszy od pierwszego dnia ekspedycji władze obozowe ogłaszały codziennie rano listę oficerów przeznaczonych do wyjazdu w danym dniu i nadszczęły skrupulatnie sprawdzając ich tożsamość. Komendant konwoju otrzymuje spisy imienne i fotografie wyjeżdżających.

Po przeprowadzeniu rewizji, zresztą dość pobieżnej, tak że znaczna ilość oficerów zdołała ukryć i zachować przy sobie swoje dokumenty osobiste, grupy wyjeżdżających opuszczają mury obozu, żegnane

codziennie przez jenców zebranych przy bramie. Pożegnania są wzruszające. Rozstają się przyjaciele, bracia, czasem ojciec błogosławi wyjeżdżającego syna. Chciał wyjechać z nim razem, lecz nie było go na liście wyjazdowej. Musi więc zostać. Nie pomagają żadne prośby i interwencje. Lista wyjeżdżających nie może być zmieniona pod żadnym pozorem. Jak nam oświadcza, jest przysłana z Moskwy, jest święta. Staramy się odgadnąć klucz, według którego listy te są ułożone. Daremnie! Jest to zupełna mozaika. Są razem starzy i młodzi, pułkownicy i podporucznicy, oficerowie zawodowi i rezerwa, województwa wszystkie pomieszane, pomieszane również baraki, w których mieszkamy. Słowem, nic odgadnąć nie można.

Dokąd jedziemy? Krają na ten temat różne pogłoski. Pesymiści twierdzą, że jedziemy na Syberię, Ural, Kamaçatkę itd. na ciężkie roboty. Optymiści widzą nas już w krajach neutralnych, w Turcji, Grecji lub Bułgarii, są nawet tacy, którzy wierzą w nasz wyjazd do Anglii. Są również pogłoski, że mają wydać nas Niemcom.

Władze obozu szerzą nieoficjalnie wiadomości, że wyjeżdżamy na punkty rozdzielcze (tzw. raspredełitelnyje punkty) do Charkowa i Smoleńska. Skąd mamy być odesłani do domu, jedni pod okupację sowiecką, inni do Niemców.

Któreś nocy budzą wszystkich i każą na gwałt sporządzić wykaz oficerów władających językami tureckim, greckim i bułgarskim.

Komendant obozu w Starobielsku, obecny przy odejściu jednej z grup, widząc serdeczne uściski i pożegnania oświadcza: „Nie na długo się rozstajecie — jedziecie wszyscy w tym samym kierunku i wkrótce wszyscy się spotkacie.”

Jakże tragiczny wyraz mają te słowa obecnie!

Straszna jest taka podróż w nieznane w zakratowanych wagonach. Kiedy nie wiadomy jest ani kierunek, ani czas, ani cel podróży.

Podróż taką ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa — w Nieznane odbyliśmy wszyscy, ale nie wszyscy, wbrew oświadczeniu komendanta, spotkaliśmy się razem. Zaledwie mała cząstka jenców z tych trzech obozów, około 360 osób (w tym około 200 oficerów, kilkudziesięciu podchorążych i kilkudziesięciu policjantów) przewieziono do obozu w Pawliszczewie pod Smoleńskiem, a stałamt po miesiącu do Griazowca pod Wołogdą.

Dokąd zawieziono innych — nie wiadomo.

Z napisów na ścianach wagonów napotkanych przez jenców przybyłych do Pawliszczewa różnymi transportami wnioskować można, że znaczna ilość transportów przejeżdżała w ciągu kwietnia 1940 r. przez Smoleńsk, a także przez Charków. Więziarki odwoziły jednych i wracaly po następnych i stał szereg napisów i dat na ścianach wagonów. Jest to ostatni ślad naszych zaginionych jenców.

Od tej chwili upłynęły trzy długie lata. Dużo zmieniło się na świecie. Owcześni wrogowie stali się sprzymierzeńcami. W roku 1941, na mocy układu polsko-sowieckiego, dziesiątki tysięcy żołnierzy i oficerów polskich wypuszczono z więzień, z obozów pracy, z żołnierskich obozów jenców i wreszcie z jednego jedynego w całym ZSRR (jak się wówczas okazało) oficerskiego obozu jenców w Griazowcu pod Wołogdą, istniejącego od roku 1940. Do obozu tego, w którym, jak podałem wyżej, znajdowało się około 200 oficerów przywieziono w lipcu 1941 r. około

1000 oficerów polskich, internowanych poprzednio na Litwie i Łotwie, a następnie od lipca 1940 r. do lipca 1941 r. w Kozielsku.

W dniu 25 sierpnia 1941 r. przyjeżdża do Griazowca, mianowany dowódcą P. S. Zbr. w ZSRR, gen. Anders. Wreszcie 2 września jenci i internowani, w liczbie około 1200 oficerów, opuszczają oboz.

W tym samym czasie do miejsc organizacji Polskich Sił Zbrojnych przybywają oficerowie i szeregowi wypuszczeni z więzień i obozów pracy.

I wówczas stanęliśmy wobec ponurej zagadki. Gdzie są oficerowie, jenci wojenni ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa? Co się stało z naszymi braćmi, przyjaciółmi i kolegami, z którymi rozstaliśmy się w kwietniu 1940 r.

Począwszy od kwietnia 1940 r. nikt na terenie ZSRR, ani w kraju lub za granicą nie otrzymał od nich listu, ani żadnego znaku życia.

Ani wysiłki naszego dowództwa, ani starania naszego ambasadora w ZSRR, ani interwencja naszego rządu nie zdołały dotąd odsonić tajemnicy.

Sowiety milczą, milczą od dwóch lat wytrwale.

Po raz pierwszy odezwały się w tej sprawie w dniu 15 kwietnia br. ogłaszając oficjalnie zaprzeczenie wiadomości podanej przez radio niemieckie o masowym wymordowaniu oficerów polskich.

Tysiące matek, żon i dzieci zaprzeczenie to odczytywało z przeblyskiem nadziei, pragnąc w nie uwierzyć.

Cheć wierzyć, że Oni żyją.

I dlatego zapytujemy:

Witold Kaczkowski

RZĄD POLSKI W SPRAWIE STAROBIELSKA

Rada Ministrów na posiedzeniu w dniu 17 kwietnia br., po zaznaczeniu się z wszystkimi informacjami w sprawie oficerów polskich, których zwłoki obecnie odkryto pod Smoleńskiem i po zapoznaniu się z raportem z Kraju w tej sprawie, wydała następujące oświadczenie:

„Nie ma Polaka, który by nie był wstrząśnięty do głębi wiadomością, szerzoną przez niemiecką propagandę z największym rozgosem o odkryciu pod Smoleńskiem we wspólnym grobie zmasakrowanych zwłok zaginionych w ZSRR oficerów polskich i o kaźni, której padli ofiarą. Rząd Polski polecił dn. 15 kwietnia br.

w swemu przedstawicielowi w Szwajcarii zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o wysłanie delegacji, która by zbadała na miejscu istotny stan rzeczy. Pragnąc należy, by bez najmniejszej zwłoki nastąpiło orzeczenie tej instytucji opiekuńczej, której przypadnie w udziale wyświetlenie sprawy i ustalenie odpowiedzialności.

„Zarazem jednak Rząd Polski w imieniu Narodu Polskiego zaprzecza Niemcom prawa do czerpania ze zbrodni, które zarzuca innym — argumentów w obronie własnej.”

Po wymianieniu zbrodni niemieckich, Rada Ministrów stwierdza:

„Nie po to składa Polska niezmiernie ofiary, walczy i znosi nadludzkie cierpienia, aby Niemcy wysuwali stąd bezcelne pretensje do występowania w obronie chrześcijaństwa i europejskiej kultury. Krew żołnierzy i obywateli polskich, gdziekolwiek była ona przelana, woła o zadośćuczynienie do sumienia wolnych narodów świata. Rząd Polski piętnuje wszystkie zbrodnie popełnione na polskich obywatelach i odmawia prawa wyzykiwania tych ofiar w politycznej grze przez kogokolwiek, kto winien jest tych przestępstw przeciwko Polsce.”

Komunikat Ministra Obrony Narodowej

Minister Obrony Narodowej, gen. dyw. M. Kukiel ogłosił komunikat w sprawie zaginionych oficerów w ZSRR. Dostawne brzmienie tego komunikatu podał Kurier Polski w Bagdadzie w dniu 20 bm.

Komunikat stwierdza, że z liczby ponad 15.000 jenców wojennych polskich, z tego ponad 10.000 oficerów rozmieszczonych w obozach

w Kozielsku (na wschód od Smoleńska), w Starobielsku (koło Charkowa) i w Ostaszkowie (koło Kalinina), odnalazło się tylko około 400 osób, które wyeliminowano z powyższych obozów i skupiono w czerwcu 1940 w obozie w Griazowcu (koło Wołogdy). O pozostałych zaginął wszelki ślad.

Pomimo wielokrotnych interwencji

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

POLSKA UPADŁA ANARCHIĄ, BO ANARCHIA PANOWAŁA W DUSZY POJEDYŃCZEGO POLAKA. WSZELKIE KOMBINACJE POLITYCZNE, NAWET POMOC ZAGRANICZNA SĄ DAREMNE, DOPÓKI POLAK NIE WYLECZY SWOJĘ DUSZĄ I NIE ZROBI JEJ WIZERUNKIEM TEJ OJCZYZNY, KTÓRA MA ZMARTWYCHWSTAĆ.

St. Szczepanowski

ROZMOWA O STAROBIELSKU

Wśród żołnierzy naszej Armii na Wschodzie rośnie zaniepokoienie o los naszych oficerów i szeregowych zamkniętych w obozach w Starobielsku, Koziełsku i Ostaszkowie bezpośrednio po kampanii wrześniowej. Po ostatnich wiadomościach niepokój ten przemienia się niemal w tragiczną pewność. Pragnąc uzyskać możliwie pełny obraz tego, co dotąd wiemy o tym dramacie, zwróciliśmy się do b. jeńca obozu w Starobielsku rotmistrza Józefa Czapskiego z prośbą o podzielenie się posiadanymi wiadomościami z czytelnikami „Orla”.

— Co i kiedy Pan Rotmistrz miał wspólnego z obozem w Starobielsku?

— Dnia 26. IX. 39. r. dostałem się do niewoli rosyjskiej wraz z kadrą 8 pułku ułanów. W Starobielsku osadzeni zostaliśmy w początkach października, wyjechałem zaś stamtąd, jako jeden z ostatnich, w maju 1940 r. Los kolegów ze Starobielska, Koziełska i Ostaszkowa interesował mnie oczywiście bardzo. To też, kiedy w listopadzie 1941 r. otrzymałem zadanie przyjmowania żołnierzy przyjeżdżających do Wojska Polskiego przeprowadziłem wśród nich ankietę co do losu zaginionych. Zajmowałem się tymi badaniami na rozkaz gen. Andersa do 1 kwietnia 1942 r. Przepytałem w tej sprawie tysiące ludzi. Udało mi się zebrać okrochy wiadomości, które w kwietniu 1942 r. zakomunikowałem min. Kotowi w Kujbyszewie.

— Czy zostały sporządzone listy zamkniętych w tych obozach?

— Wśród urstowanych byli oficerowie, którzy pomagali komendantom obozów w ich zarządzie gospodarczym. Tak np. nadzwyczajnych wiadomości dostarczył por. Bronisław Młynarski, b. adiutant starszego obozu w Starobielsku. Dzięki temu udało nam się sporządzić dokładne wykazy jeńców. Ogólna ich liczba w trzech obozach wynosi ponad 15.000 osób, w tym 8.700 oficerów. W samym Starobielsku osadzeni byli prawie wyłącznie oficerowie oraz stu kilkudziesięciu podchorążych. W Ostaszkowie natomiast znajdowali się przeważnie szeregowi z KOP i z Policji Państwowej.

— Byli to wszystko jeńcy wojenni, zabrani do niewoli we wrześniu 1939 r. Z nich wszystkich, jak dotąd, znajduje się na wolności zaledwie 300—400. Około 300 z tych uratowanych przeszło później przez obóz w Griażowcu, kilkudziesięciu zaś przez więzienia, do których zostali indywidualnie wywiezieni z Koziełska, Starobielska i Ostaszkowa. Po wywiezieniu jeńców zrobiono w Starobielsku obóz dla zesłańców politycznych, co jest jednak już zupełnie inną sprawą.

— Jak się przedstawiał nastrój psychiczny jeńców w Starobielsku?

— Z początku nastrój ten był fatalny. Składały się na to przynęcenie klęską, brak jakichkolwiek wiadomości z Polski, okropne warunki mieszkaniowe. Niektórzy współwzruszyciele niedoli nie mogli się powstrzymać od brutalnych pogrów. Jeśli dodamy do tego zachowanie się dozorców — otrzymamy niezbyt wesoły obraz życia w obozie. — Jednym z najbardziej przejmujących dla mnie wydarzeń był powrót tej brudnej, zawszonej, zrozpaczonej gromady ludzkiej do człowieczeństwa

i życia intelektualnego. Pierwszym wstrząsem był 11 listopada. Byłem obecny na jednym ze zbiorowych nabożeństw, gdy ks. Aleksandrówicz odczytał z szczęśliwie przewiezionego jacińskiego brewiarza ewangelie o dziewczęce, którą Chrystus wskrzesił. Słowa „nie umarła ale śpi” przyjęte zostały ze zrozumiałym wzruszeniem. Potem odbyła się akademia, na której młody podporucznik deklamował „List z Syberii” Or Ota, i któryś z wierszy Lechonia.

— Wkrótce potem NKWD rozpoczęło pierwsze nocne wywożenia naszych kolegów w nieznanym kierunku. Wywiezieni zostali wówczas por. Kwolek, rtm. Kuczyński i inni. Jedynym o Kwołku doszła nas wieść, że umarł na suchoty na dalekiej północy.

Drugim wielkim wydarzeniem w naszym życiu duchowym były święta Bożego Narodzenia. Kiedy pomyśleliśmy, że wszyscy ci ludzie prawie na pewno nie żyją, nawet najmniejsze szczęśliwość z tych czasów nabierają swobodę, patetycznego zabarwienia. Pamiętam jak dziś długi stół zbity z desek, skradzione gdzieś drzewko, kilka bułeczek i cukierków i cały Starobielsk rozbrzmiewający przez noc kołędami. Władze obozowe były przerażone i nie mogły sobie dać z nami rady. W tym czasie rozpoczęły się po poszczególnych barakach odczyty i w ogóle życie umysłowe zaczęło odżywać.

— Czy może pan rotmistrz wymienić jakieś nazwiska w związku z tym „odrodzeniem” Starobielszczan?

— Dużą w tym rolę odegrał major Sołtan, szef sztabu gen. Andersa w czasie kampanii wrześniowej. Pochodził z rodziny powstańczej i godnie podtrzymywał tę tradycję. Jako jeden z pierwszych rozpoczął odczyty o kampanii wrześniowej i historii wojen. — Do podniesienia ducha przyczynił się również bardzo ks. Aleksandrówicz, nadzwyczajny światły kapłan, wraz ze swoimi współtowarzyszami niedoli pastorem Potockim i rabinem Steinsbergiem. Zostali oni wywiezieni ze Starobielska w przededniu Wigilii Bożego Narodzenia.

— Sasiadowałem na przycy z por. Skwarczyńskim współredaktorem „Polityki”. Zbiierał on wokół siebie ekonomistów i wzięwcie dyskutowali nad programem gospodarczym Rzeczypospolitej. Mitera — geolog, stypendysta Rockefellera, z którym się również przyjaźniłem, mówił ciekawie o kosmografii. Tomasz Chęciński, namiętny federalista o świetnej inteligencji politycznej, miał rzadki dar zdobywania sobie przyjaciół i stronników. Iluż ich było, ludzi wybitnych, gorących patriotów, entuzjastów, którzy cichą pracą, żywym koleżeństwem w przeciągu kilku miesięcy przeobrażili oblicze duchowe obozu. Dr Kołodziejski, wybitny chirurg warszawski, Piotrowicz — historyk krakowski, Karcewski, profesor z Rydzyny... i setki innych, których twarze zapomniać nie mogę.

— Jak przedstawiali się warunki życia w Starobielsku?

— Warunki te były niewątpliwie o wiele lepsze od tych, w których żyli w „lagrach” zesłańcy polityczni. Jeść dawano mało, ale nie było szczególnie dotkliwego głodu. O ile chodzi o pomieszczenie, najgorzej było w tzw. „Cyрку”. Była to dawna cerkiew. Mieszkało w niej około 1000 ludzi. Przycze ustawione były w 5 pięter. Ponieważ było bardzo ciasno, po-

treba było cudów zręczności, by nie spaść z pod kopuły na ziemię. Ja spałem w baraku na rogu ulicy Lwowskiej i Norwida.

— ? ? ?
— Nazywaliśmy w ten sposób korytarze między przycami. Poza tym była w obozie mała biblioteka, zawierająca jedynie książki rosyjskie. Nie zaspokajała ona nawet setnej części wymagań. Badania odbywały się na ogół bez zniechania się fizycznego, zdarzało się co najwyżej, że pytano kogoś bez przerwy przez trzy dni i noc.

— Jak wyglądało wywożenie panów ze Starobielska?

— Najpierw władzę puszczaly uprzejmy pogłoski, że zostaniemy oddani Niemcom. Później pojawiły się słuchy, że mamy być przewiezieni przez Rumunię i Grecję do armii polskiej we Francji. Władze sowieckie usilnie współdziałały w szeregach tych wieści. Dochodziło do tego, że budzono nas w nocy i pytano, kto zna języki krajów bałkańskich... Pewnego dnia znowu jeden z jeńców znalazł marszrutę, rzekomo naszą, na kartce papieru. Prowadziła przez Bendery (Besarabia) do Grecji. Oczywiście, podrzucono ją naumyślnie.

— Czy jednak w pogłoskach tych nie było nic prawdy?

— O ile chodzi o wydanie nas Niemcom, to niewątpliwie coś w tym tkwiło. Wiem np., że moje dwie siostry i żona dr Kołodziejskiego spędziły z ramienia Czerwonego Krzyża kilka tygodni na granicy z tysiącami paczek oczekujących naszego przybycia. Polecenie tego wyjazdu otrzymały niewątpliwie w porozumieniu z władzami niemieckimi.

— Z kogo składała się grupa, z którą pana wywieziono?

— Jak zaznaczyłem, była to jedna z ostatnich grup. Po naszym wyjeździe prawie nikt już nie pozostał w Starobielsku. Składała się ona z kilkunastu oficerów. Nasuwa się pytanie, na podstawie jakiego kryterium zostali oni wybrani. Zastanawiałem się często nad tym pytaniem i przyszedłem do przekonania, że nie było żadnej wyraźnej podstawy politycznej czy innej, aby uratować życie właśnie 70 oficerom, których ze Starobielska przewieziono do Griażowca. Jedynym kryterium była tu zupełna dowolność, która robi wrażenie przypadku. Była tam cała gama stopni i przekonań, od generała Wołkowieckiego do szeregowca, od ludzi, którzy zrobili sobie „kрасnyj ugołok” do skrajnych zwolenników ONR.

— Ze Starobielska zostaliśmy wywiezieni „stolypinkami” do Pawliszczewa Boru, koło Smoleńska, a następnie do Griażowca, gdzie spotkaliśmy paruset kolegów z Koziełska i Ostaszkowa. Z Griażowca zostaliśmy zwolnieni po „amnestii”.

— Jakie wskazówki co do losu jeńców z tych obozów dają informacje zebrane przez pana po uwolnieniu?

— Długo by o tym mówić, a jednocześnie tak niewiele. Pierwsze wiadomości wskazywałyby na Ziemię Franciszka Józefa. Tak np. szef NKWD w Czkałowie, którego o to pytałem, potwierdził, że jeńcy Starobielska znajdowali się w porcie Dudinka u ujścia Jeniseju. Jest to port, z którego wyjeżdża się na Ziemię Franciszka Józefa.

— Wszystkie te informacje miały jednak niepewny charakter. Przeciw tej

koncepcji przemawia także okoliczność, że kiedy odwiedziliśmy szereg obozów koncentracyjnych w całym ZSRR gen. Nasietkina, ten ostatni nie chciał mi wprawdzie nic powiedzieć, ale za jego plecami wisiała ogromna mapa, na której wyrysowane były wszystkie „lagry” na terenie całego Związku — ani jednego nie było na Ziemi Franciszka Józefa.

— Jakie jeszcze wiadomości doszły pana w sprawie Starobielszczan, Koziełszczan i Ostaszkowców?

— Między wypuszczeniem mnie z obozu i wyjściem naszej armii z ZSRR objechałem wszystkie możliwe urzędy, o których można było przypuszczać, że coś wiedzą o losie moich współtowarzyszy. Nic pewnego nie mogłem się dowiedzieć. Dotarłem również do gen. Rajchmana, jednego z wyższych dygnitarzy NKWD w Moskwie. Przyjął mnie z początku z chłodną uprzejmością i obiecał sprawę wyśledzić. W kilka dni później zatelefonował jednak, że wyjeżdża i nie będzie się mógł ze mną zobaczyć. Radził zwrócić się do Wyszynskiego (wicekomisarz spraw zagranicznych ZSRR), który ma akty tej sprawy. Do Wyszynskiego zwracał się jednak uprzednio osiem razy amb. Kot — bezskutecznie.

— Jakie było stanowisko Stalina w tej sprawie?

— Stalin indagowany najpierw przez ambasadora R. P. przyjął z wielkim oburzeniem do wiadomości, że są jeszcze Polacy nie wypuszczeni na wolność. Potem dodał, że „amnestia” odnosi się absolutnie do wszystkich i zatelefonował do NKWD z rozkazem natychmiastowego wykonania tej decyzji. Powtórnie Stalin został zainteresowany w tej sprawie na Kremlu, przez gen. Andersa, w czasie wizyty gen. Sikorskiego. Najwyższy czynnik rosyjski wyraził przypuszczenie, że nasi oficerowie uciekli do Mandzurii. Otrzymał na to odpowiedź gen. Andersa, że zbyt dobrze zna on organizację NKWD aby mógł to brać poważnie pod uwagę. Stalin usmiechnął się na ten komplement i zapewnił, że jeżeli są jeszcze jacyś ludzie, którzy bezprawnie zatrzymują Polaków w obozach, to on tych ludzi będzie „łamał” („my budiem ich łomat”). Cała sprawa na tym ukłnęła.

— Jakże są końców wniosków pana rotmistrza?

— Wszelkie produkty niemieckiej propagandy przyjmować musimy ze zrozumiałą ostrożnością. Jednakże szczerą otwartością informacji, zgoda władz niemieckich na zbadanie sprawy przez delegację Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ogólnikowe zaprzeczenie sowieckie, a przede wszystkim brak wieści o zaginionych przez całe trzy lata nie pozwalają na optymizm. Z ostatecznym sądem wypadła zazwyczaj na wyniki prac wspomnianej komisji C. K. W każdym razie nie mogą one służyć za usprawiedliwienie terroru niemieckiego, tak samo, jak barbarzyństwa niemieckie nie mogą łagodzić naszego sądu o tragedii koziełsko-starobielsko-ostaszkowskiej.

OFIARY NA INDYWIDUALNE PACZKI DLA JEŃCÓW

St. majster Ligenza Łomiński Ałojzy — 3 jin.

NA DZIECI POLSKIE W ZSRR

Por. Fiala z okazji zakończenia kursu, zebrane przez kursantów 20 din., 268 fls.

Na harcerskim MOŚCIE

Pomimo całej swej okropności wojna nie może zbić z tropu przysięgłych optymistów. Stąd od wielu z nich — wierzących poprzez wszystko w pozytywne siły ludzkości — słyszy się twierdzenie o twórczych wartościach tego strasznego zjawiska. I kiedy jeden z wybitnych Polaków nazwał wojnę „skrótem dziejowym”, niewątpliwie sądził, że przelatując ognistym biegiem nad ludzkością, oczyszcza ją z tego co małe i słabe, by doskonałe elementy tym bujniej rozwinęły się w nowej, świeżej atmosferze.

Jeśli jednak przyjąć tę hipotezę o wojnie jako katalizatorze rozwoju społeczeństw, dobrze będzie oświetlić ją, choćby pobieżnie, z punktu widzenia psychologii gromad społecznych, czynnie biorących w niej udział. Pewnym jest naprzekąd, że wojna wypacza światopogląd: ludzie zmuszeni oglądając rzeczywistość „przez pryzmat wojny” patrzą właściwie przez inny przyrządek optyczny: przez soczewkę... Zupełnie zrozumiałe jest to zogniskowanie wszystkich dążeń społeczeństwa na celach wojny, tylko bowiem podporządkowanie wszystkiego pozwoliłoby stworzyć dostateczną siłę do jej wygrania. Gorzej jest wszakże, iż naturalnym skutkiem tego zjawiska jest zatarcie się konturów na krawędzi pola widzenia. Tym bardziej, że drugą właściwością życia w wojsku jest pozbawienie okresów samotności, nieodzownej do pogłębiania sądów o bieżącym życiu. Stąd człowiek zaczyna myśleć pobieżnie i krótkowzrocznie... Długo też — mimo nieodzowne ześrodkowanie zainteresowań na samej wojnie — słuszną jest rzeczą wybiegać myślą w przyszłość i możliwie dokładnie uprzytomniać sobie własne, jakże odpowiedzialne zadania, oczekujące każdego w odzyskanej Ojczyźnie.

Zastanawiając się nad kierunkami pracy nad odbudową państwa można łatwo sposzperzyć trzy możliwości:

- kontynuowanie przedwojennych tradycji z ich wszystkimi zaletami i błędami — za tą możliwością przemawia działanie obowiązującej w rozwoju społeczeństw siły bezwładności, która aczkolwiek zachwiana przez wstrząs wojenny, może jednak zgłotować wcale nie oczekiwane niespodzianki;

- możliwe radykalne przekreślenie przeszłości i oparcie odbudowy na jakichś nowych wzorach, rodzimych czy też importowanych; wreszcie —

- odrzuć zły, a kontynuowanie takich z przedwojennych form życia społecznego, które pozytywnie zdały egzamin zarówno w pracy jak i w walce.

Sądzę, że z tych trzech hipotetycznych możliwości, ostatnią przedstawia się najsympatyczniej, łączy bowiem aktywny pierwiastek pozytywnego tradycjonalizmu, którego wartości zwiastują dla kulturalnego rozwoju społeczeństwa niespodziewanie niedocenione po smutnych doświadczeniach minioniej i bieżącej doby — z twórczymi elementami postępu. Stąd wydają się słuszne wszelkie próby sporządzania pozytywnego bilansu naszego przedwojennego życia, ewidencji wartościowych form życia społecznego, by można było o nich pamiętać, gdy zajdzie potrzeba rozszerzenia pracy.

Za dobry wkład w życie Polski uważam pracę organizacji harcerskiej i dlatego postaram się w krótkiej

charakterystyce uchwycić jej zasadniczy sens i treść. Tym więcej, że moment, w którym wojna przerwała wychowawczą pracę skautingu w Polsce, można uważać za przelomowy w życiu tego kierunku pedagogicznego. Może najjaśniejszym da się przedstawić, gdy uprzytomnimy... wady i niebezpieczeństwa tego systemu.

Harcerstwo miało niewątpliwie wielki, a co ważniejsze, głęboki wpływ na młodzież. Przyczyna tego leży w psychologicznej prawidłowości jego programów: dawało chłopcom to, co ich najgłębiej interesowało w danej fazie rozwoju psychicznego, zaspokajało w sposób bezpośredni lub sublimowany wszystkie niemal instynkty w ich kolejnym występowaniu w psychice. Poza tym zaś zaspokajało naturalną dążność do doskonalenia rzeczywistości. O poziomie ideowym pracowników harcerskich świadczą chociażby fakt, że była to bodaj jedyna organizacja, w której przygniatająca większość kierowników ofiarowywała swój trud całkowicie bezinteresownie. Wszystko to zespalało chłopca z organizacją niezwykle silnie — i tu leżało niestety największe niebezpieczeństwo!...

Realny bowiem program pracy skautowej podążał za psychicznym rozwojem chłopca jedynie do 15—16 roku życia. Potem urywał się gwałtownie i organizacja, zespoliszyszy wychowanków niezwykle silnie ze sobą, nie potrafiła wprowadzić ich w realne życie dorosłego społeczeństwa. Chłopiec w okresie dojrzałości, wyrwany z kręgu marzeń i wlotów dziecięcych, gdy zamiast „wielkich gry” stanęła przed jego oczami „gra prawdziwa” — udział w realnym życiu społeczeństwa, na próżno czekał na dalsze drogowskazy... Wtedy następował smutny rozdział: Część serdecznych skautów nie potrafiła zerwać z organizacją i tkwiła w młodzieńczym światopoglądzie nie spotrzegając, że oddziela on ich często od realnego życia, a nawet — co więcej — przynosząc swą obecnością szkodę pracy wychowawczej... Drugi zrywali z organizacją i pozostawieni samopas szukali nowych obowiadów stając się często lupem niektórych błyskotliwych lecz płytkich programów partyjnych.

Ostatnie dwa lata przed wojną przyniosły w tej sprawie zasadniczą zmianę. Harcerstwo postanowiło zbudować pomost dla wychowywanej przez siebie młodzieży w życiu starszego społeczeństwa. I trzeba przyznać, że zabrano się do tego z pięknym i rzetelnym rozmachem. Część instruktorów harcerskich, wśród których nie brakło ostatnio tegich naukowców, rozpracowała najpierw zagadnienie z punktu widzenia psychologicznego i socjologicznego w pracowniach uniwersyteckich, za tym dopiero poszło opracowanie odpowiednich programów. Strzeszczając pracę ch. pobieżnie, powiedzić można, że pierwszym jej celem było możliwe pogłębienie własnych wartości etycznych chłopca w zastosowaniu do prawdziwego życia, a więc zagadnienia religijne, społeczno-polityczne, problem rodziny, narodu, państwa, ludzkości — i to przez rozszerzenie zasobu obiektywnej wiedzy o tych zagadnieniach. Dalej fundamentalnymi zagadnieniami było zespolenie młodych z naszą tradycją kulturalną i obyczajową przez na-

wiązanie — obok innych form pracy — bezpośredniego kontaktu z wybitnymi, wartościowymi jednostkami ze starszych generacji, na którym to polu udało się zdobyć całkowite zrozumienie bodaj wśród elity umysłowej Polski. Realizowało się w ten sposób cudne marzenia Żeromskiego o znaczeniu tradycji kulturalnej w wychowaniu młodzieży (por. „Wspomnienia o Adamie Żeromskim”). Było to tak zgodne psychologicznie z właściwą dorastającej młodzieży potrzebą poważnego, rzeczowego kontaktu ze starszym społeczeństwem, pozbawionego drażniącego lekceważenia z jego strony. Poza tym nastawiono pracę w organizacji na zajęcia konkretne, często związane z przyszłym zawodem, jaki chłopak zamierzał sobie obrać. W kształtowaniu postawy psychicznej wysunięto na czoło hasło „dzielność” — w stosunku do siebie samego, jak i do otaczającego świata.

Zaczęły się ukazywać nowe podreżniki, praca nowej galezi ruchu — obok najmłodszych „zuchów” i nieco starszych „harcerzy” — którą na zwano „pracą starszych chłopców” lub inaczej „skautów”, zaczęła rozwijać się coraz wspanialej...

I wtedy przyszła wojna...

Koronacja Aleksandra Jagiellończyka

Kłęcz król Aleksander w wawelskiej katedrze. Prymas wkłada mu koronę na skronie. Dokoła biskupi, dostojnicy, giermkowie. Jabłko złote dzierży, miecz i koło. Na drugim planie strojni widzowie. W łóżdy tytarami wysłanej królowa. Majestat, poęta i przepych. Łśni purpura i błyszczą arabskie złote.

Miniaturę tę, w przepięknej reprodukcji barwnej, grubo wytłaczanej, znalazłem nad Wołgą, na zapyłonej płaszczyźnie saratowskiego antykwarza. Nie wierzyłem oczom. Rycina z Pontyfikatu Erazma Ciołka, biskupa i dyplomaty, z przepięknej polskiej książki renesansowej, książki godnej swoich wielkich jagiellońskich czasów, tu mi w ręce wpadła, nad Wołgą.

Pontyfikał Erazma Ciołka był jednym z klejnotów Biblioteki ks. Czartoryskich w Krakowie. Był. Gdzie jest teraz? Ciężko myślę te domyśleć do końca.

Zawczasem dziś jeszcze na bilans. Pożar trwa jeszcze i leje się krew. I bezcenne skarby naszej kultury ciągle jeszcze w rękach grabieżcy.

Przyjdzie chwila, która nam je zwróci. Mamy do odebrania dużo. Bardzo dużo. To, co wydarło ojcom, przadziadom i dziadom. To, co długimi łańcuchami wozów wywożono po każdym rozbiore. To, co w czasie walk grabiono i w czasie pokoju. Pełne naszych skarbów niemieckie biblioteki. I jedno jest ulubione marzenie, mściwe i słodkie: wyjechać do zdobytego Wrocławia i dalej i dalej. Przytulili ukochane foliady do piersi stęsknionej. Zgarniać je, odnajdywać, wysłedać. Tysiącami i dziesiątkami tysięcy odsyłać do kraju, by triumfalnym wracały pochodem do nowych świetnych murów, jakie staną na miejscu spalonych bibliotek.

Kultura to nie jest wartość drugorzędna i jej miejsce nie na drugim planie. Nam nie wolno dziś już wracać do smutnego wiersza „nie czas żałować róż, gdy ploną lasy”. Nie wolno twierdzić, że naprzód są rze-

Widziałem harcerzy w walce, a potem w pracy konspiracyjnej. Styszałem relacje z różnych stron. Opierając się na tych wszystkich danych sądzę, że swe zadanie spełnili i pełnią dalej dzielnie. O to chodź!...

Dziś na terenie Środkowego Wschodu stają przed harcerstwem dwa zadania: rozlały się pospółczy masy naszej młodzieży. Oficjalnie władze szkolne wkładają maksimum wysiłku, ale i oczekują zrozumiałej pomocy ze strony społeczeństwa. Ta pomoc musi przyjść od harcerstwa, ta pomoc musi być wydatna i rzetelna. Bo ostatecznie przecie w tej gigantycznej wędrówce właśnie harcerze, uśmiechnięte trampy, powinni okazać najwięcej dzielności.

Mnóstwo harcerzy znajduje się w szeregach wojska. Normalne jest, zwłaszcza w obliczu zjawisk wymagających od człowieka dużego wysiłku charakteru, że lgnie on do kolegów pokrewnych ideowo, bliższych światopoglądem. Nie dziw więc, że i w wojsku schodzą się skauci, by wspólnie pogłębić pracę nad sobą, samokształcenie i wzmocnić własny zapal — zapalem gromady. Sądzić więc należy, iż mimo trudne warunki i na naszym terenie harcerstwo wnieśli realny wkład do pracy całego społeczeństwa nad odzyskaniem niepodległości i przygotowaniem się do jej sprawowania.

I w ten sposób zbudują harcerze jeden z mostów, co ponad szalejącym w Ojczyźnie zalewem połączą twórczą pracę z przed wojny z tą nową, która nas oczekuje.

Dr Wiktor Szaryński

czy ważniejsze, że naprzód cegły, mury, dom, a potem kultura. Kultura to tego domu kamień węgielny. I trzeba na nią i dla niej pracować już teraz. Wśród pożaru i mimo pożaru. Straciliśmy zbyt dużo i zbyt dużo jeszcze codziennie tracimy, by odbudowę duchowych wartości odkładać na później. Nasz Mars musi być w zgodzie z Muzami. Bo dla nas wojna nie jest zamkniętym w sobie cieniem. Dla nas wojna to droga do Polski i każdy wystrzał i każdy krok naprzód to cegiełka do Jej odbudowy. A książki, nasze ukochane, zagrabione książki, to bardzo ważne cegły.

I tego nie wolno nam mówić, że kiedy giną na polach bitew tysiące i dziesiątki tysięcy w kraju pod ręką kata konaję, nie czas na myślenie o rycinach, choćby najpiękniejszych. To nie jest prawda. Jeśli pomimo klęsk i mimo katastrof ani na chwilę nie utraciliśmy wiary w zmartwychwstanie, w lepszą przyszłość, w naszą przyszłość, to w części to było dlatego, żeśmy czerpali hart moralny z książki Nauczylismy się cenić książkę wtedy właśnie, kiedy jej nie było. Właśnie wtedy, gdy za oknami szalała zawieja, kiedy w noc bezsenne na drewnianych przyczach, za drutami, w obozach, w więzieniach, tłułka się myśl znękana jak zwierzątko w klatce, przychodziła książka na fali wspomnienia, pocieszała, kołała. Odbudowywała fragmenty nężona pamięć. Składano je wysiłkiem zbiorowym. Wylaniaty się w ten sposób całe księgi „Pana Tadeusza”, Konopnicka do nas mówią i Pol, Sienkiewicz i Prus. Półgłosem płynęły w ciemność ukochane słowa, tak dawno już pogrzebane w pamięci, by jak dukat złoty na czarną schowany gołdźnię, sił dodać i otuchy, kiedy ich najbardziej było potrzeba.

Okazmy się godni przadziadów: Żaluskiego, Ossolińskiego, Staszica. Do zbrojenia się niezmiernie dużo. Żaluskim dziś być musi każdy z nas.

Dr S. Ehrlich

PANARABIZM



! PANISLAMIZM

Dwie idee nurtują muzułmański Wschód.

Panislamizm: historyczne dążenie do zespolenia pod jedną władzą kalifa wszystkich wyznawców islamu. Dążenie tak stare, jak stara jest religia tworząca jego fundament.

Panarabizm: chęć zjednoczenia wszystkich Arabów, lub lepiej ludów mówiących językiem arabskim, w jednym politycznym państwie.

Islam, to jedyna w swoim rodzaju religia geopolityczna, dostosowana do prymitywnego życia na stepie czy pustyni, gdzie człowiek z natury rzeczy inaczej odnosi się do spraw duchowych. Religia, która dzikim nomadom nałożyła obowiązek ścisłego przestrzegania praw i przepisów zawartych w Koranie, zmusiła ich do życia opartego na pewnych zasadach i fundamentach.

Wzywając do walki z „niewiernymi” (a raczej do nawracania ich ogniem i mieczem) islam jest również religią polityczną i jako taką przyczynił się do powstania w dawnych wiekach olbrzymiego imperium kalifów Omayadów czy Abbasydów. Sięgało ono od granicy francusko-hiszpańskiej po Ganges.

Ten geopolityczny panislamizm nie odróżniał narodowości. Fundamentem jego i celem istnienia była religia. W jej imieniu opanowywał coraz to nowe ziemie. Każdy jednak, kto przyjął islam, stawał się natychmiast równy temu, który mu go narzucił.

Od najazdu Mongołów w XIII wieku panislamizm począł chylić się ku upadkowi. Najeźdźcy wprawdzie sami z kolei przyjęli islam i roznieśli go dalej na wschód, do Turkiestanu, Mongolii i Chin, podważali jednak główny filar panislamizmu — władzę kalifa — doprowadzając do politycznego rozpadnięcia się świata muzułmańskiego na szereg państw, nie związanych już ze sobą politycznie.

Polityczna forma panislamizmu odżyła dopiero w Imperium Otomańskim, gdzie sultan ze Stambułu był znowu kalifem czyli szefem wszystkich wiernych muzułmanów. Wówczas jednak islam utracił z kolei drugą ze swych cech: przestał być anarodowy. Główne skrzypce grali już w nim Turcy, podporządkowując idee panislamizmu swoim własnym celom imperialistycznym, czemu oczywiście gwałtownie sprzeciwiały się wszystkie inne narody.

Bardziej czystą próbą odbudowy panislamizmu był w 18 wieku ruch wahabicki. Olbrzymie watahy dzikich i purytańskich nomadów, przejętych najskrajniejszym fanatyzmem religijnym, w imię Proroka ruszyły na podbój Wschodu. Zostali jednak w końcu rozbici i zmuszeni do powrotu do swoich pustynnych legowisk w środkowej Arabii.

Spaczony, korupcją i osobistymi ambicjami żarty panislamizm de facto przestał egzystować z chwilą abdykacji ostatniego sultana tureckiego. Został bowiem przez to pozabawiony swojej głowy — kalifa.

Miejsce jego zajął ruch nowy — panarabizm.

Europa w końcu ub. stulecia przepełniona była ideami narodowymi. Zapoznali się z nimi przebywający na politycznej emigracji wybitniejsi przedstawiciele narodów uciskanych przez Imperium Otomańskie i nie bez słusznosci stwierdzili, że te nowe prądy przeszczecone na Wschód doprowadzić mogą do rozbicia potęgi tureckiej.

Idee narodowościowe przeniesione na Wschód szybko się tam rozwinęły, czemu pomógł prastary ludnośćowy i szepcowy podział narodów wschodnich. Rozwinęły się nawet tak dalece, iż w lonie samej Turcji spowodowały ruch panturański, dążący do zjednoczenia wszystkich narodów pochodzenia tureckiego.

Jeżeli chodzi o Arabów, to w tym narodowościowym ruchu przodowała oczywiście najbardziej może uświadomiona politycznie Syria (Egipt posiadał już w owym czasie faktyczną, choć może nie nominalną niepodległość). Dopiero jednak zesła wojna dała możliwość wprowadzenia w życie tych szeroko już rozpowszechnionych wówczas idei, równocześnie rodząc wypływający z nich nowy ruch: panarabizm.

Hussein, szeryf Mekki, a więc po kalifie najważniejsza figura w islamie, w porozumieniu z Anglikami spowodował wybuch arabskiego powstania przeciwko Turcji. Wzmacnian za to przyrzeczono mu stworzenie szeregu państw arabskich, na których czele stanąć mieli jego synowie, a on sam zostać miał głową federacji tych państw z tradycyjnym tytułem kalifa istamu.

Jak widać, było to połączenie wszystkich trzech idei razem: nacjonalizmu, panarabizmu i panislamizmu.

Plan ten jednak do skutku nie doszedł, gdyż Wielka Brytania i Francja sprzeciwiły mu się ze względów politycznych. Poparły jedynie ruch narodowościowy stwarzając szereg państw arabskich, odrzuciły zaś koncepcje federacji politycznej czy religijnej.

Co nie udało się Husseinowi na drodze rokowań politycznych, lepiej udało się Ibn Saudowi, królowi Nędzu (Wahabitów) z bronią w ręku. Hołdując tejże samej idei panarabizmu połączonego z panislamizmem, ale w wydaniu tureckim, tj. zjednoczenia Arabów w ramach jednego tylko państwa i pod jednym władcą, uczynił pierwszy krok po temu zajmując Hedżas. Tym sposobem stał się władcą całej niemal Arabii oraz szeryfem Mekki, a więc wobec braku kalifa, teoretycznie religijnym przywódcą wszystkich muzułmanów.

Przez pewien czas po wojnie intrygi polityczne i właśnie rodowe, głównie między potomkami Husseina a Ibn Saudem, spowodowały zamarcie ruchu panarabskiego. Na krótko jednak, gdyż niedługo odżył on w podwójnej postaci.

Pierwsza spowodowana została przez Niemców i Włochów, pragnących w ten sposób osłabić wpływ brytyjskie i utworzyć sobie drogę na wschód. Drugą była reakcja brytyjska.

Propaganda niemiecko-włoska spowodowała powstanie palestyńskiego noszące hasło „Palestyna dla Arabów”, niepokoję w Syrii czy Iraku. Wmawiała w Arabów, że to właśnie Anglia nie pozwalała się im zjednoczyć.

Kontrakcja brytyjska doprowadziła do pogodzenia się synów Husseina panujących w Transjordanii i Iraku z Ibn Saudem panem Arabii, przy czym pogodzenie to miało być wstępem do szerszej zakrojonej współpracy, mającej na celu doprowadzenie do panarabskiej federacji. Równocześnie z odzysaniem panarabizmu odżył oczywiście związany z nim silnie panislamizm. Przybrał on formę akcji na rzecz odnowienia

kalifatu, ale tylko w zakresie religijnym, przy czym do tytułu kalifa istamu pretendował zarówno król Egiptu — spadkobierca kalifów z Kairu, król Iraku — spadkobierca kalifów z Bagdadu oraz Ibn Saud, pan Mekki. Kontrkandydatem z ramienia opanowanych przez propagandę niemiecko-włoską panarabistów był wielki mufti Jerozolimy.

Z wybuchem obecnej wojny panislamizm zeszedł na plan drugi, zato

doszło do starcia obu kierunków panarabizmu, wyrażonego w rewolucji irackiej.

Obecnie, po opanowaniu sytuacji przez Anglików, coraz więcej mówi się i pisze o powojennej federacji panarabskiej, do której na równych prawach narodowościowych weszłyby: Arabia saudzka, Syria, Irak, Transjordanian, Palestyna i Yemen.

Aleksander Grobicki

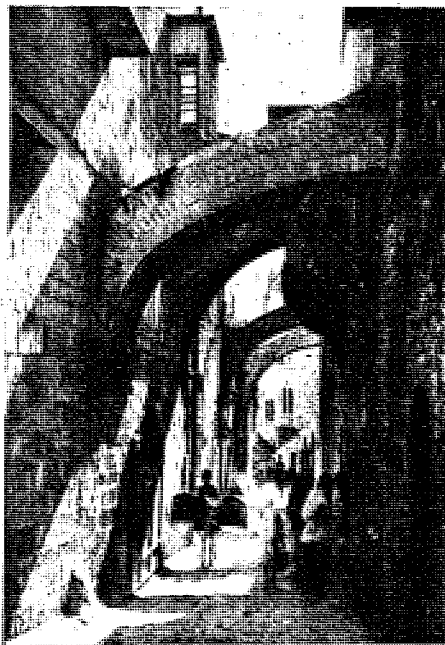
WIELKANOC

Ach — mówisz, że Wielkanoc. Przecież wiem, bywało...
dzwonami wniebowzięta niedziela — paniećsz,
gdy wioski się stroiły na biało, na biało,
gdy zielenią wybuchła za kościołem cmentarz...?

Oplótkami szły tęczą rumiane dziewczyny,
jak kwiaty modrym świtem zerwane w ogrodzie...
korale srebrnych bazi wkładały wikliny,
by schylić się nad rzeką i przegładnąć w wodzie...

A łąki w jasnych sukniach, od kaczek złote
mówiły ludziom — mimo — ciche „Pochwalony”,
bociany z kół nad strzechą spływały klekotem,
a nad ziemią modliły, modliły się dzwony.

To kościół zza lipowych, zielonych bukiełów
bił w spizę „Alleluja” i tonął w rozgwarze,
zachłyśnięty Hosanna, obdarty z fioletoów —
otworzył drzwi i płonął, płonął w świcie porażce!



Jerozolima — Droga Krzyżowa

I Chrystus nad kłęczącym pochylonym tłumem —
pónagi... wielki... żywy... w muslinie kądziada...
w organach Alleluja huczące pionorem
i słońce mokrym deszczem kapiące z kropidła...

A potem — dom. Na lieli obrusu święcone,
i jakieś ciche chwile dzieciństwem pachnące,
i słowa... matka... oczy wruszaniem zamglone,
i tylko pocałunki — gorące, gorące...

Chcesz wrócić dzisiaj do nich, jak zawsze, na Święta?
Poczekaj. Jeszcze kościół w fioletoch, w żałobie,
i szlochem jeszcze dąwi się zielony cmentarz.
I Chrystus nie zmarłychwstał — jeszcze został w grobie...

Janusz Wedow

* Niebieski raport Zięby Wojciecha *

Siedział sobie raz św. Piotr późną nocą na dyżurce przy głównej bramie Niebia i drzemał.

Był bardzo zmęczony. Od tyłu, tyłu wieków nic nie robi tylko otwiera tę bramę i otwiera. Co ją zamknie, to znów ktoś w nią kołacie. Co go puści, to już ktoś nowy stuk. Ale takiego ruchu—choć stary—nie pamięta jeszcze nigdy! I nie dziwota! Jak świat światem a niebo niebem, nie było jeszcze takiej wojny! Strach, co tego narodu ginie teraz na ziemi! To też św. Piotr, utrudzony wielce, korzystając z chwilowej ciszy przy furcie siedział na zydelku i drzemał. Kluczy z ręk nie wypuszczał, w śnie je nawet mocno w garści trzymając. Już to Pan Bóg wiedział, kogo na ten posterunek dać! Służbista to, św. Piotr zawsze był i wiedział: co rozkaz to rozkaz.

W Niebie było cicho... Wszystkie dusze zbawione spały sobie bezpiecznie i smacznie. Czasem tylko, w zupełnej ciszy, dolatywał do dyżurki miarowy odgłos kroków przechodzącej zmiany i słumiony głos rozprawiającego wartę Anioła. Mogła być druga, może trzecia nad ranem... Gwiazdy zaczynały być śpiące i mrugały częściej, niż z wieczora. To już taka najgorsza godzina, kiedy na posterunku najbardziej chce się spać.

Aż tu stuk—puk—ktoś zakolał w bramę. Ocknął się św. Klucznik, wstał, wziął latarnię z haka... Latarnię trzymał ze sobą mieć, żeby przepustkę sprawdzić—wiadomo! Zgrzytnął wielki klucz w zamku i powoli uchyliła się ciężka, gwiazdami okuta brama.

Przed Świętym, wyprostowany na baczność, stał młody żołnierz. Za nim, w mroku, białął jego Anioł Stróż.

—Święty Piotrze—zasalutował przybyły—starszy strzelec Zięba Wojciech melduje swoje wejście.

—Spocznij, synku, spocznij—uśmiechnął się życzliwie starszek.—Papiery w porządku, co?

—Tak jest, św. Piotrze—wyprężył się znowu żołnierz.—Z ostatniego m. p. na ziemi, dostałem przydział do Nieba, na nowe m. w.

—Na nowe m. w.—przyznał starszek sprawdzwszy przy latarni pismo. Ot i widziś... Zmieniłeś miejsce postoju i zmieniałeś, aż ci narazicie odkomenderowano na „miejsce wiecznego trwania”... Najlepszy przydział, jaki może być. Tu, to już sobie odpoczniesz. Zmęczonyś bardzo, co?

Po bladej twarzy Zięby przemknął zakłopotany uśmiech.

—Melduj, że dość...

—Chodźże więc z mną... Zaraz nadejdzie tu Anioł Inspekcyjny, to ci miejsce zakwaterowania pokaże. Już łącznik poszedł... Pobudki tu rano nie ma. Możesz sobie spać jak długo chcesz... Chodź...

Dopiero na dyżurce przyjrzał się Święty nowemu. Błady był bardzo, wychudzony, a młody jeszcze całkiem. Dziecko prawie. Patrzył w oczy prosto i uczciwie.

—Polak?—zagałnął Święty.

—Melduj, tak jest!—strzelił obcasami Zięba

—Zginąłś w bitwie?

—Żołnierz zmieształ się.

Melduj, że nie. Umarłem na tyfus w szpitalu... przyznał się, jak do winy!

Oj dużo tu takich przychodziło, bardzo dużo. Z wiosną ich zawsze najwięcej. Siadaj—że sobie, bo po

chorobie pewnie ci się trudno na nogach utrzymać.

—Dziękuję św. Piotrze. Postoję...

Święty powiesił latarnię na haku, klucze wetknął za pas i asiadł znów na zydelku. Potem z dobrodusznym uśmiechem spojrzał na żołnierza.

No, a jakże tam było z... czyśćcem?—zagałnął poufnie—Przytrzymali cię trochę, co?

Zięba zmieszał się znów, ale widząc uśmiech Świętego uśmiechnął się także.

—My w wojsku do dezynfekcji nawykli...—rzekł—Po każdym transporcie, nim nas do obozu puścili, trza to było przejść... to coś dopiero tu? Ale chwalić Boga, nie długo jakoś trwało.

—Śpieszno ci było, jak każdemu, co?

—Oj bardzo... A mnie może śpieszniej niż innym...

—A to dlaczego?

—Bo ja... bo ja...—zająknął się Zięba—bo ja chcę do raportu!

anielskie, potem jakieś srebrzyste schody. Coraz wyraźniej, coraz głośniejsz dochodziły go pienia anielskich chórów. Nogi ze wzruszenia stawały się pod nim coraz cięższe i kiedy już myślał, że nie potrafi dalej iść, Anioł się zatrzymał.

—To tu... powiedział wskazując złote drzwi.

Zięba zebrał całą odwagę, odruchowo obciągnął mundur, drżącą ręką przejechał po kieszeniach, czy guziki w porządku, przeżegnał się i wszedł.

Zaśmiało go z miejsca od progów. Myślał, że oślepnie. Aż stracił dech.

...Bóg Ojciec, w całej Swjej chwale siedział na wysokim tronie. Obok świetlistych stopni stali Aniołowie i Świeci. Same najwyższe szarże... Anielskie pienia zgasły. Anioł Stróż w ciszy przedstawiał Ziębę do raportu.

Zięba jak we śnie podszedł parę kroków, chciał zasalutować, ale nie zdążył. Upadł na kolana.



—Do raportu? Do kogo?

—Do samego Pana Boga, melduję, z prośbą.

Sw. Piotr wysoko podniósł brwi:

—A bójże się Boga, chłopcze! Jeszcze się po Niebie dobrze nie rozejrzałeś... a już z prośbą! Pilnego coś widać masz?

—Melduję, że bardzo.

—Raport do Pana Boga synku, to nie byle co... Nie stracisz ty języka w gębie, jak ci gadać przyjdzie?

Mam w Bogu nadzieję, że nie. Ja bardzo proszę do tego raportu...

—A kiedy chcesz?

—Choćby i zaraz... już...

—O! Jakiś w gorącej wodzie kąpany...—mrknął Święty pod nosem.

Ale cóż? Mam rozkaz, żeby o każdej porze nocy i dnia jak ktoś do raportu... puszczać. 'Aniele Stróżu!'

—zwrócił się do skrzydaletej zjawy stojącej za żołnierzem.—Proszę bezzwłocznie przedstawić ci strzelca Ziębę Wojciecha Bogu Ojcu Wszchemogącemu do raportu!

—Rozkaz—zaszeleścił Anioł i ruszył postuszenie przodem.

Starszy strzelec Zięba Wojciech nigdy już potem nie umiał sobie przypomnieć, jak to było i kłóredy siedzi... Serce hukło się w nim tak, że ledwie słyszał, co sam myśli. Widział przed sobą skrzydła

—Panie Boże Wszchemogący, w Trójcy św. Jedyny. Starszy strzelec Zięba Wojciech melduje swoje... ukłęknięcie!

Po Aniołach i Świętych przeszedł lekki szmer. Zglądneli się po sobie. Ziębie wydało się nawet, że co niektórzy się uśmiechnęli. Speszzył się jeszcze bardziej. Jeśli zaraz nie namyślając się dłużej nie powie z czym przyszedł, to przepadło! Nie wykrztusi już potem słowa...

—Panie Boże Wszchemogący... ja względem Polski! To już nie do wytrzymania, co się z nią wyprawia! Wszystko dobrze, ale co za ducho to i nie zdrowo! Już chwalić Boga czwarty rok—a końca temu nie widać. Raz ten, raz tamten, a jeden gorszy od drugiego! Meldujcie pokornie, Panie Boże Wszchemogący, że przyszedłem prosić, żeby się tu prędzej odmienilo, bo jak dłużej potrwa, to nie tak ludzie... ale trawa tam wyginie!

Urwał, spocząny, bez tchu. Rece tylko złożył mocno, tak mocno, jak można prosił i tak mocno, jak się bał. Bo co tu gadać? Majestat to Majestat!

Zobaczył, że jeden z Aniołów—ten najświetliwszy, cały w srebrnej zbroi i z mieczem u boku—wstąpiwszy z czcią na stopnie Bożego Tronu

ukłękł i jał coś cicho Bogu Ojcu przedkładać. Taki tu widać przepis...

—Nikt, tylko szef sztabu—przemknęło Ziębie przez głowę—albo i sam Naczelny Wódz Niebieskich Sił Zbrojnych (bo gwiazd było na nim więcej, niż na wszystkich razem wziętych generałach na ziemi...)—Taki młody, a już się takiego stopnia dosłużył—pomyślał jeszcze.

Zaś Michał Archanioł zstąpiwszy ze stopni Bożego Tronu spojrzał w oczy Ziębie nie wrogo, lecz surowo.

—Dlaczego starszy strzelec Zięba Wojciech ominął drogę służbową?—rzekł.

Zięba struchlał.

—Czy starszy strzelec Zięba Wojciech nie wie, że wszystkie prośby iśe mają służbowo—przez Marię?

—Melduj pokornie, panie generale—bąknął Zięba—melduj pokornie, że myślałem...

—Żle myślał starszy strzelec! Proszę wnieść podanie przez najmiłościvszą Kancelarię Jej wstawiennictwa. Dopiero wtedy prośba wasza może być rozpatrywana...—A że mu się widocznie żal zrobiło biedaka, który aż pobladł ze wzruszenia, dorzucił łagodniej:—Tyle tylko mogę powiedzieć starszemu strzelcowi Ziębie, że Jej prośbom Bóg nie odmawia nigdy. Możecie się odmeldować.

Nie martw się—szepnął mu Anioł Stróż, kiedy schodzili po srebrnych stopniach i kiedy anielskie pienia znów napętniły powietrze.—Archanioł Michał tylko wtedy taki groźny, gdy chodzi o dyscyplinę w Niebie. Co do tego, to już strasznie urzędowy... Ale jak przyjdzie podanie twoje poprzec, to będzie pierwszy. Zobaczysz! Byle przepisz...

—A kiedy będzie można do tej najmiłościvszej Kancelarii, z podaniem? Teraz noc... Matka Boska pewnie śpi...

Anioł się uśmiechnął. —Nie bój ty się! Nie śpi Ona nigdy. Ani na chwilę ócz najświetszych nie tuli. Szkoda Jej czasu na spanie, teraz zwłaszcza, gdy wojna. Doba Jej zawsze za krótka na to wszystko, coby zdziłać chciała... Chodź!... Tedy...

I poprowadził go nie do żadnego złotego gmachu i nie przez żadne złote schody, tylko w duży, zielony, pachnący kwiatami ogród. Dniało... Niebo zaczynało lekko różowieć na wschodzie. Ptaki niebieskie poćwierkiwały w gniazdach i gwiazdy blady... Idący przed Ziębą Anioł zwolnił kroku i szedł teraz na palcach. Stąpaj cicho, żebyś ich nie spłoszył. Mało która dusza widziała to, co ty zobaczysz.

...Na rozległej, bujną trawą zarosłej łące, siedziała Najświętsza Panna. Dwanaście gwiazd migotało Jej wiankiem wokół głowy. Korony o tak wczesnej porze dnia nie nosiła nigdy. Lekka Jej szata wiała się na powietrze, jak rozwalkana ranym powiewem mgła, a taka świętość, taka czystość, taka słodycz szły od Niej, że starszy strzelec Zięba uczył nagle, że nie postąpił już kroku dalej. Kolana same ugięły się pod nim. Ukłękł. Anioł wcale się nie zdziwił.

—Widzisz te białe obłoczki, te białe kłębuszki mgły wokół Niej?—zapytał go szepłem Anioł.—To wszystko dusze waszych polskich

dzieci, które zabiła wojna. Codziennie rano Królowa nasza przychodzi tu do nich na „Dzieńdobry”. Patrz, jak się do Niej garną ufnie i śmiało. Patrz, jak im Jej miłość nagrodzić pragnie krzywdę i niewinną mękę krótkiego ich żywota na ziemi.

Patrz, jakie są szczęśliwe. Zięba patrzył, ale mało co widział, po prawdzie. Lzy nagle całkiem za-

mając odwagi podnieść oczu — meldując najpokorniej, ja z prośbą...

— Wiem. Stawałeś do raportu do Boga Ojca i odesłano cię do mnie. Nie znajdując słów przytaknął tylko głową.

— Przyszedłeś prosić o zmiłowanie nad królestwem moim, nad Polską.

— Tak jest... meldując pokornie...

— A skąd ci na myśl przyszło, aby

gorzał nad nim ten jego pierwszy w Niebie dzień.

Idąc tak zauważył dopiero po chwili, że całe chmury Aniołów, ledwie dostrzegalnych skrzydlatych zjaw, wiały się w cichym powietrzu nad Marią, kiedy tak stąpała przed nim skupiona, jaśniejąca i poważna. I jeszcze jedną dziwną rzecz zauważył Zięba. Oto w miarę jak szła, cała Jej postać napływała silniejszym blaskiem. W miejsce zwiewnej, białej szaty, opływał Ją teraz strój królewski, wspaniały, srebrzysty i szafirowy, cały usiany gwiazdami. Na głowie nosiła koronę wysoką, od której łęczące smugi były wkrąg na powietrze. Stąpający obok Anioł zauważył jego zdumienie.

— Zawsze, kiedy przed Bogiem Ojcem ma stanąć, musi włożyć na siebie wszystką chwałę Nieba i ziemi... Obowiązkowo... — objaśnił. — Zaraz też zjawi się Archanioł Gabriel, Jej adiutant, żeby Ją zameldować...

Zięba szedł, ani wiedząc, że idzie. Wyczerpiał, że znowu przed Bogiem Ojcem ma stanąć. I bał się i cieszył i sam nie wiedział, co też to z tego będzie. Już przecie nie wnoził żadnego podania. Już rozumiał, że Niebo wie i pamięta o wszystkim. Co powie Bóg Ojciec, gdy go znów przed Sobą zobaczy? A ze wszystkiego najgorszy to ten skrzydlaty szef sztabu, czy kto to? Nie można wiedzieć, co mu się tym razem nie będzie podobać.

I znowu srebrzyste schody i znowu złote drzwi i znowu anielskie pienia. Wreszcie Tronowa Sala. Jasny, jak błyskawica Anioł spadł przed stopnie Bożego Tronu i zameldował Marię.

Weszła, z pokorą niosąc całe dostojenstwo swego królewskiego Majestatu. Stuliła strzeliste promieniami dłonie, spuściła jaśniejące łaską oczy, podeszła i ukłękła... Wszystkie Anioły ukłękły równocześnie. Oczywiście Zięba gruchnął też na oba kolana.

— Ojcie Przedwieczny! W najgłębszej pokorze chyląc się przed Twym Majestatem, czcząc wolę

niektórzy tacy! Znam dobrze ich serca, bo się do mnie garną... Z gruntu poczciwe i uczciwe, wierne, ofiarne... I tyle wycierpeli i tyle jeszcze cierpień! Nie buntują się przeciw Twojej świętej woli, tylko ufają w Twoje zmiłowanie, czekają, proszą...

— Ale nie chcą zrozumieć, że cierpienie dałem im umyślnie! — rzekł Bóg. — Chciałem, aby w tym morzu łez, krwi i męki przepadły ich złe, narodowe skłonności, ich waśni, zawiści, ich buta i chępliwość. Dałem im wspólne cierpienia, nieszczęcie w cierpieniu tym uczeni narezycie wszyscy, że są jednością! A tymczasem... jak wykorzystali ten wielki dopust, którym ich nawiedziłem celowo? Jeszcze nie oddałem im Polski, a już widzę wśród nich tarcia, klótnie, zaognienia... Jedni uważają się za lepszych od drugich! Jedni chcą, aby ich cierpienia wyżej ceniono od cierpień ich własnych braci. A dałem każdemu — wedle mego uznania i woli — dość! Jedni po krzywdzie drugich deptać by gotowi ku własnemu dając celom. Czy po to doświadczyłem ich tak bardzo?! Nawet że w pełnych nieszczęściu uczynić zdolali kość niezgody! Nigdy i w niczym jedności! Nazwij mi choć jedną, jedyną rzecz którąby ich łączyła, a wysłucham cię... Coś, czemu służyliby wszyscy, coby kochali wszyscy i coby wszyscy czcili! Czy jest coś takiego?!

Wielka cisza zaległa Niebo. Anioły stuliły oczy i pióra w skrzydłach. Głos Boga Ojca grzmiał tak groźnie, a odpowiedzi nie znajdował nikt. Najświętsza Panna zawała się chwilę. Coś, jakby zmieszanie i nieśmiałość pokryły Jej twarz lekkim obłokiem rumienia. Schyliła jeszcze niżej głowę.

— Tak, Ojcie Przedwieczny... — odparła wreszcie cicho. — Jest coś takiego...

Bóg Ojciec zdumiał się.

— Niepojęte! — rzekł. — Nazwij mi je. Co to?

— Ja... szepnęła jeszcze ciszej

Maria.

Twarz Boga Ojca rozblęsnęła.

— Tak. Wiem! Ciebie czczą i ko-



wały mu oczy. Coś go za serce chwyciło jak garścią.

— To znaczy... — zabuczało mu w głowie — to znaczy, że meldunki już były, i że wiesz tu w Niebie, co w Polsce...

— Widzisz to malutkie, które teraz wzięta na ręce? — usłyszał nad sobą szepł Anioła. — To dziecko zamarzło w transporcie. Z czarnego, bydłowego wagonu w śnieg je wyrzucono oknem... Tysiące takich było... A to drugie, starsze, widzisz? Spadło z przeladowanej „barży” w wodę pewnej złej, szalonej rzeki... Nie było ani poręczy, ani burty, a po most był śliski od lodu. Nie zdążyło krzyknąć. Matkę jego dwa miesiące przedtem zmiażdżyły wagonny. A widzisz, ta mała, której Najświętsza Panna podaje teraz kruszka gwiazdkę z niebia i kubek ciepłego mleka z Mlecznej Drogi? Umarła z głodu, tak jak jej młodszy braciśzek. Tamtych troje zginęło z rodzicami pod gruzami zwalonego bombą domu. Tamtego tam chłopczyka — miał rok — zabiła na kolanach babki w wagonie kula karabinu, którym z samolotu ostrzeliwano pociąg. Reszta — te nieprzejrzane, nieprzeliczone tłumy duszynek — to dusze polskich dzieci, które wydusiły choroby, tyferyty, tyfus, zapalenie płuc... Nie zliczysz ich, choćby chciał...

Ale Zięba wcale nie chciał liczyć. Ledwie słyszał, co Anioł do niego mówi. Płacz się w nim porwał tak wielki, że każda żyłka w nim dygotała. Nie dbał już, czy go kto słyszy, czy nie... Zakrył twarz rękami i płakał.

I wtedy, nagle, wydało mu się, że Ona stanęła przy nim.

— Kto to płacze w Niebie? — zadzwęczało łagodnie.

— Meldując pokornie... starszy strzelec Zięba Wojciech — chlipał nie-

do Nieba wszedłszy, do tego raportu stawać?

Zięba głośno przełknął lzy, cicho pociągnął nosem i ręce złożył jak do spowiedzi.

— Kiedy umierałem... bo ja nie w polu, tylko w szpitalu... — zaczął. — Kiedy umierałem... a młodo... miałem dwadzieścia dwa lata... i tak mi szkoda było życia, tom sobie powiedział, że już umrę i chętnie, byłem się tu dostał i mógł złożyć meldunek o tym, co u nas... Bom sobie myślał: nic, tylko meldunków nie było... Wiem. Strasznie tu teraz dużo roboty z tą wojną... O wszystkim wiedzieć, pamiętać... To sobie myślałem, że umrę bez żalu, byle samemu do raportu stanąć i powiedzieć, i poskarżyć i poprosić... że może wtedy przedęj się coś odmienni na lepsze... na dobre... Ale teraz... jakem zobaczył to — wskazał łękę — nie trza mojego raportu! Jak był czas na pomysłenie o takiej ochronce dla naszych dzieci, to już i dla całej Polski zmiłowania starczy i w porę! Już nie chcę żadnego podania... Już o nic nie proszę... tylko mi czegoś bardzo słabo po tej chorobie... zachwiał się i byłby runął pod najświętsze stopy, gdyby go Anioł Stróż nie był podtrzymał.

I wtedy wydało mu się, że jakieś ciepłe światło dotknęło jego skołataną głowę. Nie śmiał wierzyć, że to Jej święte dłonie ścisnęły jego zmęczoną głowę. Ale tak było naprawdę...

— Nie będziesz już ani zmęczony ani słaby... — zadzwęczało znów nad nim. — Wstań proszę i chodź...

Błogość jakaś i ufnosć zalały jego zmęczone serce. Wstał, dziwnie lekki i silny i ruszył za Nią. Jeszcze czasem ukradkiem ocierał pięścią oczy, jeszcze z cicha pociągał nosem, ale już jaśniej i spokojniej było mu w duszy. Jaśniej też, budząc się,



Twoich świętych wyroków, lecz wierząc w Twe bezgraniczne miłosierdzie, przychodzi Ci prosić o zmiłowanie nad królestwem moim, nad Polską.

Bóg Ojciec spochmurniał.

Polskę zawsze kochałem — rzekł — ale Polaków zaczynam nie znosić! Klótniwo to, zawiśnię, warchoły jakich mało, lekkomyślni, pyszni...

— Ojcie Przedwieczny! To tylko

chają i w tym cała ich nadzieja...

— Czczą nie mnie... tylko matkę Twojego Syna, Ojcie Przedwieczny — powiedziała, a kiedy słowa te padły, jeszcze jaśniejszym blaskiem trysnęły Jej ręce i korona. — Wzywają mnie w radości i w ucisku. Zwłaszcza w ucisku... Słyszałam niedawno słowa różańca, którymi tętniły nieprzeliczone pociągi jadące mroźnymi bezkresami — w nieznanne. Sły-

szalałam czarne, więzienne cele szemrzące upartą modlitwą. Widziałam w wychudłych rękach więźniów i skazańców różańce z chleba, ro bione ukradkiem, kiedy im odbiera no prawdziwie. Świećli je sobie łza mi i modlił w odważną, jawną w no cy i we dnie. Widziałam różańce u konających na pobojowiskach. Widzę je dziś w rękach jeńców, dzie ci, wdów, matek, żon i żołnierzy... A ci, co na różańcu się modlą, szczególnie bliżej są mojemu sercu... — Mojemu też... — przyznał uro czyście Bóg Ojciec.

Maria nagle dzwignęła głowę i skła dając błagalnie ręce:

— Ojciec Przedwieczny — spytała. — Czy jeśli ich wszystkich ogarnę różańcem, jeśli całą Polskę nim okole i zjednoczę, czy dasz mi ją taką, jaka wtedy będzie?

— Tak. Dam Ci ją taką, jaka wtedy będzie — rzekł Bóg. — I więcej powiem: taka różańcem zjednoczona Polska będzie moja. I dam jej Syna mego za Króla i wtedy będzie Nim wielka, Nim potężna, Nim dobra i Nim niepokonana! To ci przyrzekam, Matko mego Syna, przez Jego zasługi, krew i krzyż, amen.

Po Niebie poszedł dreszcz od tej Bożej przysięgi i gwiazdy się posypały...

Audiencja była skończona.

* * *

Archaniele Gabrieli — zwróciła się Maria do swego skrzydatego adiutanta, gdy minęli już srebrne scho dy i gdy królewska Jej szata przysła zła znów w codzienną. — Idź proszę do

nikt inny tylko święty Kazimierz, króliewicz. A ten młodzieńki w habi cie, stódk jak dziecko, to święty Stanisław Kostka... Tak. Na pewno on, bo Najświętsza Panna uśmiechnęła się do niego, gdy ją miał. Zięba nie wszystkich znał, a niektórych nie poznawał tylko. Takiego św. Andrzeja Boboli na przykąd, albo św. Wojciecha, swego Patrona, nie po znał, bo byli inni niż na obrazkach. Nie poznał bł. Bronisławy — ale tej to po prawdzie i na obrazku, jak długo żył, nie widział... W błędę, wysmukłej zjawie nie domyślił się królowej Jadwigi, choć była taka sama, jak ta, śpiąca marmurowym snem w Katedrze na Wawelu. Patrzył z zapartym tehem na czterdziestu Braci Męczenników z bł. Sadokiem na czele, na bł. Salomeę, Jakóbą Strzemie, Jana Kantego, Jana z Dukli, Jacka, Ładysława, Bogumiła...

— Co tu tego... co tu tego... — cu dowadł się dziecinnie, widząc te sze regu świętych, za Polską orędujących dusz.

A Panna Najświętsza tych, którzy mieli różańce, zatrzymywała skuieniem, uważnie oglądała podawane Sobie paciorki i przepuszczała ich dalej. Widocznie szukała czegoś.

Wreszcie, kiedy korowód zaczynał się już kończyć, dostrzegła Maria szarą, pokornie w cieniu się trzymają cą postać jakiegoś zakonnika. Był rosy, siwy, odziany w habit koloru razowego chleba, a długi, drewniany różaniec zwiślał mu niżej kolan. Zięba go nie znał, ale Najświętsza Panna znała na pewno, bo uśmiechnęła się oto znnowu.

sali obrad Ministerstwa Spraw Ziem skich w gmachu Wyroków Bożych.

Przedziwnie prędko i cicho dzieje się wszystko w Niebie! Znów nim się kło opatrzył Najświętsza Panna, wszyscy polscy Święci, Orędownicy, Patronowie — i on sam, starszy strzelec Zięba Wojciech — znaleźli się we wspaniałej, złocistej sali. Na środku stał stół ogromny, a na nim leżała rozścielona mapa całego świata. Tu obradował niebieski Sztab Główny. Tu stosownie do woli i wyroków Bożych wyznaczało się losy świata i poszczególnych narodów. Teraz, ponieważ na ziemi szalała wojna, cała mapa pstrzyła się od chora giewicz, którymi generałowie Nie biescy, zależnie od rozkazów Bo żych, wytyczali wyginające się w różne strony granice wojujących państw.

Najświętsza Panna, z drewnianym różańcem w ręce, podeszła do stołu. Zięba wydało się nagle, że ma znwu na sobie ów wspaniały, kró lewski strój i koronę na głowie. Płaszcz tylko nie był tym razem błękitny. Stał się ciemno złoty i aż sztywiny od klejnotów. Ale co ze wszystkiego najdziwniejsze, wydało się Ziębie także, że Jej jaśniejąca dotąd twarz zmierzchała nagle, po ciemniała, tak samo zresztą jak ręce i że dwie skońce blizny zjawily się na Jej policzku.

— Częstochowska! — śmignęło mu przez głowę.

Tak! To była Ona — Królowa Ko rony Polskiej, złota, o ciemnej twa rzy, tyle, że bez Dzieciątka.

Dostojnie powolnym ruchem Ma ria odwróciła się od stołu. Zachrze ścił Jej złoty płaszcz i mocniej za lśniła korona.

— Wzywam was, polscy Święci, Orędownicy i Patronowie, do wzmo żenia naszej działalności na ziemi — rzekła uroczyście. — Pomóżcie mi, aby obietnica, którą wyrzekł Bóg Ojciec i to, co ja teraz uczynie, dzięki

dobrej woli i współpracy żywych... stało się prawdą! Natchnienia wasze i światła, niech budzą w ich sercach pragnienie jedności i zgody! Niech rozum braci waszych ku tej prawdzie się rozjaśni, że tylko jedność w mi łości jest siłą, która najsroźszą jed ność w nienawiści kruszy i zwycięża. Wiele z mocy i łaski Najwyższego uczynić mi wolno — pragnę jednak, aby ich własne dążenia łasce tej wyszły naprzeciw, aby ich własny wysiłek w walce Dobrego ze Złem mógł dać im radość — zasługi! Po móście mi tak, jak ja chcę pomóc Polsce!

I obróciwszy się znów do stołu, między pstrymi chorągiewkami rozto czyła szeroko długi, drewniany róża nianiec, po czym zaczęła go uważnie układać i przesuwać na mapie...

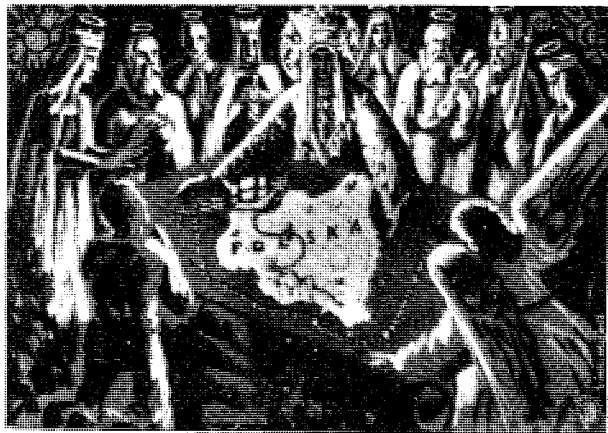
Patrzy Zięba, patrz Święci, patrz Aniołowie...

...Oto południową granicą Polski pełźnie już ciemny grzbiet francisz kańskiego różańca. Teraz okala Śląsk... jeden... drugi... i gnje się skońce ku południowemu zachodowi. Święci wstrzymują dech... Posuwani wciąż świętymi rękami wywijają się oto ku Odrze... a teraz, już z nią razem rusza śpiesznie ku morzu... Tu skręca na wschód i błękitną granicą Bałtyku sunie do Gdańska... obejmując go... mija... i dalej brzegiem morza pełzną, szerokim łukiem okala wreszcie Prusy Wschodnie... I posuwany tak wciąż błogoda wionymi, pełnymi łaski rękami, szedł dalej i dalej, póki na mapie świata — cała opasana różańcem — nie legła Polska duża, potężna o szeroko roz toczonych, w morzu umoczonych skrzydłach — ta — którą Bóg Ojciec Matce Chrystusa obiecał.

Zięba padł na kolana i gdyby du sza nie była nieśmiertelna, byłby umarł raz wtóry — tym razem ze szczęścia.

Beata Obertyńska

Ilustrował St. Westwalewicz



polских Świętych, Orędowników i Pa tronów i powiedz im, że pragnę ich widzieć. Przeprós też, że ich trudzę, ale powiedz, że to dla Polski. — Mu szą mi w czymś pomóc...

W Niebie wszystko bardzo prędko się odbywa, zwłaszcza, gdy dzieje się na prośbę Najświętszej Panny. Archanioł Gabriel nie zdążył jeszcze zniknąć, a już się zjawił z powrotem. I równocześnie przed stojącą cicho świetlistą postacią Królowej Nieba przesuwać się począł korowód pol skich Świętych. Szli skupieni, pokorni, jaśniejący. Biskupi, zakonnicy, księżne, mniszki... Ci, których wyroki Bóg na ziemi już na ofiarze wyniósł, mieli złociste krążki wokół głowy. Imi jaśnieli tylko blaskiem Bogu jedynie wiadomych zasług i cnot.

Zięba patrzył i patrzył, iż się całkiem zapamiętał w tym patreniu... Jednych poznawał, innych nie znał wcale. O! Ten ze złotym pastorałem w ręce, to pewnie św. Stanisław. Ta w habitcie i kolpaku — to pewnie Kinga. Ten smukły, błądy, o ciem nych oczach i ciemnych włosach, to

— Bracie Albercie — rzekła. — Mam do was wielką prośbę...

Cały korowód Świętych zatrzymał się, a siwy zakonnik spojrział w oczy Marii z hezgraniczną miłością i ufnie jak dziecko.

— Pożyczcie mi wasz różaniec — poprosiła. — Wybieram go dlatego, bo jest najdłuższy i najuboższy. Ziarenka jego lśnią jak drogie kamie nie, tak wyszliżgało je częste ich przesuwanie, a ręce, które to czyniły, czyniły też dobrze najbiedniejszym. A przy tym byliście żołnierzem. Z bo jów o wolność Ojczyzny wróciście kaleką... Dlatego was właśnie proszę o różaniec...

Brat Albert odmotał go śpiesznie od pasa, stukając kulą podszedł i chciał uklęknąć.

— Nie... nie — wstrzymała go Maria — Wiem przecie, jak wam trudno klęknąć... Dziękuję... A teraz — zwró ciła się do Świętych z tak radosnym uśmiechem, że aż się chmury zaró zowały od spodu — komu wolno pro szyć za mną! Archaniele Gabrieli! Zaprowadź nas proszę do głównej

— Bracie Albercie — rzekła. — Mam do was wielką prośbę...

PROGRAM POLSKICH AUDYCJI W RADIO BAGDADZKIM

OD DNIA 25. IV. — 2. V. 45 r.

Począwszy od dnia 19 bm. w ramach radia bagdadzkiego zostały uruchomione audycje alianckie. Godziny: 18.30—22, we dług czasu miejscowego, są przeznaczone dla audycji: polskich, angielskich i hinduskich w ko lejności następującej: 18.30—19 — audycje hinduskie, 19—19, 20 — audycje polskie, 19, 20—20 — audycje angielskie.

Wzmocniona radiostacja bagdadzka nadaje te audycje na fali 42,3 metra (7,096 kc). Pierwsze dwa tygodnie mają charak ter próbny. Dział radiowy Wy działu Informacji i Oświaty Dłwa APW prosi słuchaczy o przesyłanie pod adresem Paiforce 58 — dział radiowy, informacji, jaki jest odbior tych audycji.

pieśni Chopina — wykona H. Szyfman 5) Kresowy mazur — orkiestra

27. IV. godz 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Duniecki: „Co tam marzyć” — w wyk. chóru żołnierskiego 3) Sienkiewicz, frag ment z „Ogniem i Mieczem” — wy kona zespół żołn. teatru dramatycz nego 4) Polka — solo na harmonii

28. IV. godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Chopin, Wale cis-moll — w wyk. tercet 3) J. Cze chowiczówna — z cyklu „Miasta polskie” — wiersze o Warszawie i Kra kowie — recytuje J. Andrzejewska 4) Dwie pieśni Niewiadomskiego — śpiewa J. Jasińska, akomp. J. Peters burski 5) Wiązanka pieśni żołnierskich

29. IV. godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Moniuszko — „Po nocnej rosie” 3) H. Nagle rowa, fragment dramatu „Tu jest Polska” — w wyk. zespołu żołu. teatru dramat. 4) „Campanella” Liszta — w wyk. I. Padcrewskiego

30. IV. godz. 19—19.20

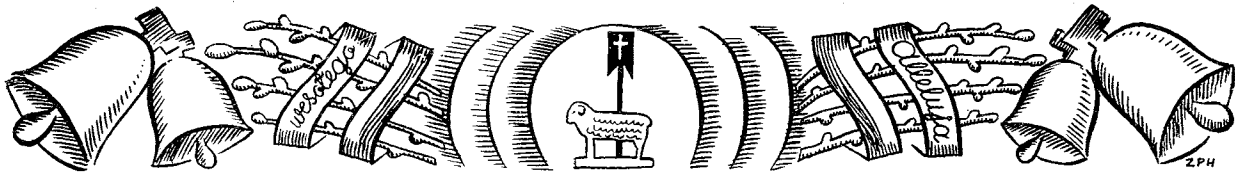
1) Dziennik radiowy 2) Pieśni żoł nierskie w wyk. chóru 3) Stowacki, „Duma o hetmanie Rzewuskim” — recytuje L. Brzeski 4) „Rapso dia cygańska” w oprac. H. Golda — wy kona trio: H. Gold, J. Petersburski i A. Melodyst

25. IV. godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Serdeczna Matko — pieśń religijna 3) Dynowska: „Zwyczaj Wielkanocny” — odczyta K. Utnik 4) Marczewski: „Na ust koralu” — śpiewa M. Mysłowska 5) Weber: „Zaproszenie do walki”

26. IV. godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Oberek — w układzie Glińskiego 3) „Pijań stwo”, bajka Krasickiego — opowie dzą A. Bożyński i H. Krzyski 4) Dwie



REWIA KARPATCZYKÓW

Polak w Australii

Znowu sala Teatru Króla Fajsała wypełniona była po brzegi doborową publicznością, przybyłą na polskie przedstawienie, zorganizowane na rzecz Induskiego Czerwonego Krzyża.

Tym razem popisywał się zespół muzyków Karpaciej Dywizji. Orkiestra wprawdzie niewielka, ale bardzo miękka, czuła i pracująca z zapalem, z przejęciem, a często ze zrozumieniem. Zespół posiada wielu rutynowanych, a nawet bardzo uzdolnionych muzyków, jak A. Lewityn (utalentowany, barwny klarncista) i bardzo muzyczny skrzypek Igo Muller, którego na pewno z przyjemnością posłuchanoby w solowym numerze programu.

Publiczność bagdadzka szczerze oklaskiwała sympatyczny zespół Karpaczyków nie tylko za ich muzykalność, ale i za wdzięczne, niekiedy dowcipne zachowanie się na estradzie. Gdyby jeszcze dyrygent M. Rechtmann, przy swojej wrodzonej muzykalności i temperamencie, pozbył się pewnej dozy niepotrzebnej nonszalaney, całość wypadłaby jeszcze bardziej dodatnio.

Program był urozmaicony i bardzo kontrastowy.

Po „Tańcach góralskich” Moniuszki — w przeróbce J. Reissa, usłyszeliśmy utwory H. Warsa, Ref-Rena, dalej następowali kompozytorzy: H. Nadel, znowu Moniuszko, Fr.

Chopin, jeszcze raz H. Nadel itd. Program przepłatan był występami solistów w osobach: W. Ignatowicz, Zb. Kurtycz, W. Warchałowska, D. Adamska, R. Kaplukiewicz, J. Zadejko, Salamonowski, M. Mróz.

Utalentowaną W. Warchałowską publiczność zmusiała licznymi bravami do powtórzenia świetnego obrotka, którego istotnie odtańczyła z dużym wdziękiem, swobodą i świeżą koncepcją.

Weronika Ignatowicz, w częściowo nieodpowiednim dla siebie repertuarze, wywiązała się świetnie z zadania i potrafiła, jak zwykle, zdobyć uznanie widowni. Muszę zaznaczyć, że na Ignatowicz ciągle czekają pieśni Karłowicza, Niewiadomskiego, Friemana i wielu innych kompozytorów z naszej polskiej skarbnicy pieśniarskiej.

Zb. Kurtycz b. muzykalnie i bezpretensjonalnie odśpiewał ładną piosenkę Ref-Rena: „Pod Namiotem”.

D. Adamska i R. Kaplukiewicz z wdziękiem i szczerością odtańczyły swoje partie, szczególnie w „Mirach Krakowskich”, które musiały bisować — mając za świetnych partnerów J. zadejkę i Z. Salamonowskiego. Tym ostatnim przypada bodaj największe uznanie.

Osobne słowa pochwały należą się p. Krzaklewskiemu za rzeźne kierownictwo całością, w niezbyt lat-

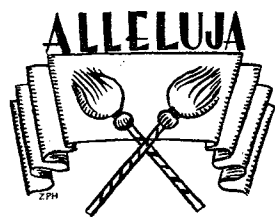
wych warunkach; Zadejce, za fachową i efektywną inwencją całości choreografii; A. Vamosowi za naturalną konferansierkę, w której udowodnił, że całkiem łatwo można uniknąć płaskich dowcipów.

W końcu pragnę zaznaczyć, że jeśli konieczne jest kulturowanie „jazzu” to nie należy go kontrastować z Chopinem, lub Moniuszką.

Poza tym kompozytorzy tej miary nie wymagają żadnych przeróbek, choćby najlepszych. Nie po to stawialiśmy im pomniki, by dzisiaj na emigracji zapoznawać obcą, a często krzykającą i wrażliwą publiczność z utworami wielkich mistrzów podając te utwory w skażonej formie.

Wydrukowany program zostanie w Bagdadzie na długo, a w pamięci muzykalnych Arabów pozostanie świadomością, że „Tristesse” (!) na oktet smyczkowy napisał Fryderyk Chopin. Szkoda!

Zb. Grzybowski



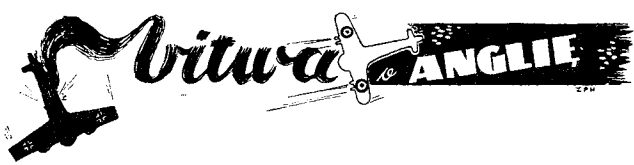
Niedawno pisaliśmy o „Polaku w Afryce”, czasopiśmie wydawanym w Nairobi, w Afryce Wschodniej. Dziś z kolei wypada powiedzieć o Polakach w Australii.

Kolonja polska w Australii nie jest zbyt liczna, lecz przejawia żywą działalność. W Brisbane, Queensland, istnieje organizacja, której prezesem jest p. Z. W. Romaszkiwicz, wiceprezes Związku Narodowego Polskiego w Australii. Dzięki jego inicjatywie Polonia australijska otrzymała gustownie przystrojona świetlicę, w której wywieszona jest tygodniowa gazetka ścienna. Pismo to, tworzone z wycinków niemal całej prasy polskiej na emigracji, jak również i z pism angielskich, zawierające szereg zdjęć i ilustracji, jest inteligentnie redagowaną kroniką ostatnich wydarzeń.

Oprócz gazetki dość często urządzone są w świetlicy przedstawienia amatorskie, pogadanki i „ogniska”.

Kolonii polskiej w Queensland, od której otrzymaliśmy list wraz z odbitkami gazetki ściennej, przesyłamy tą drogą jak najbardziej serdeczne koleżeńskie pozdrowienia.

T. W.



Gwiazda Hitlera chyli się ku zachodowi. Niebłagany los odsuwa odeni coraz dalej i dalej wizję zwycięstwa, przybliżając natomiast obraz niesławnej klęski. A los był nieraz tak łaskawy...

Posłuchajmy opowiadania amerykańskiego korespondenta W. L. Shirera, zawartego w książce „Berlin Diary”, wydanej w lutym 1942 r. Autor, korespondent berliński prasy amerykańskiej, później koncertu radiowego Columbia, przebywający w Berlinie od 1934 roku i dobrze obeznany z kulisami polityki niemieckiej, omawia w dzienniku swym w październiku 1940 roku przyczyny przegrania przez Hitlera bitwy o Anglie.

„Teraz przed zimą staje się już oczywiste, że nie grozi Anglii tej jesieni inwazja niemiecka. Dlaczego jej dotychczas nie dokonano? Co stanęło na przeszkodzie strategii Hitlera? Czemuż nie widzimy końcowego zwycięstwa i triumfalnego pokoju? Wiemy, że Hitler na początku czerwca był przekonany o zwycięstwie z końcem lata. Potrafił natychmiast z pewnością armię i cały naród niemiecki, który w to nie wątpił. Czyż nie cze-

kały na wielką paradę zwycięstwa u bramy Brandenburskiej wznieśione tam z wczasu słupy, zdobne łśniami cymy orłami, swastykami, żelaznymi krzyżami? Z początkiem sierpnia wszystko było gotowe.

„Czemuż zdarzyło się inaczej? Nieznamy dotychczas całkowitej odpowiedzi na to pytanie, częściowo jednak już możemy na nie odpowiedzieć.

„Przed wszystkim Hitler wahał się i błąd ten jego, podobnie jak niezdecydowanie niemieckiego Naczelnego Dowództwa w 1914 roku przed Paryżem, stanowią punkt zwrotny całej wojny. Armia francuska była zniszczona w dniu 18 czerwca, gdy Petain prosił o zawieszenie broni. Wielu tych, którzy towarzyszyli niemieckiej armii w Francji, oczekiwało iż Hitler odwróci się niezwłocznie i uderzy na Wielką Brytanię, póki żelazo jest gorące, póki jeszcze nimb niezwykłymi otacza zarówno jego, jak i wspaniałą wojenną maszynę Niemiec. Wiedział on, iż Brytyjczycy zataczali się od potężnych ciosów, które im zadał. Stracili swego sprzymierzeńca Francję. Do brzegów ich właśnie dobiegają zdemoralizowane szczątki armii ekspedycyjnej, która pozostawiła kosztowną i nie-

do zastąpienia broń i ekwipunek na wybrzeżach Dunkierki. Już nie mieli dużej, zorganizowanej, wyposażonej armii lądowej. Ich obrona nadbrzeżna była niska. Ich potężna flota nie mogła walczyć w dużej sile na wąskich wodach kanału La Manche, ponad którymi panowały bombowce i Messerschmitty Goeringa, działające z nowych baz.

„Taka była sytuacja, gdy Hitler wszedł na małą polanę w lesie Compiègne 21 czerwca, by podpisać ciężkie warunki zawieszenia broni Francji. Przypominam sobie teraz — choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy — że w Compiègne wojskowi niemieccy nie wydawali się być nagłeni koniecznością szybkiego skończenia Wielkiej Brytanii. Odtwarzając dzisiaj wspomnienia rozmów prowadzonych wówczas w Compiègne i w Paryżu, przypominam sobie wyrażenie Hitlera, iż inwazja Anglii, aczkolwiek musi być szybko i starannie przygotowywana, nie będzie potrzebna. W przekonaniu małego Austriaka Churchill powinien zgodzić się na pokój po jego myśli. Byłby to pokój nazistowski, odgradziłby Anglię od kontynentu Europy na długi czas; byłoby to raczej zawieszenie broni, podczas którego Niemcy tak umocniłyby się na kontynencie, że Wielka Brytania w końcu musiałaby ugnać się przed zdobywcą bez walki. Lecz byłyby to „ratujący twarz” pokój dla Churchilla. Powinien go przyjąć.

„Wierzę, iż Hitler mniemał, że Churchill rzeczywiście przyjmie ten

pokój. I dlatego pewność jego odwiekała i osłabiała pracę potrzebną do przygotowania niszczącej inwazji — budowy i koncentracji barek, pontonów, okrętów i wszelkiego sprzętu.

„Prawdopodobnie Hitler wycekiwał, aż Churchill pierwszy wystąpi z propozycją pokoju. Czyż ten Anglik nie zdawał sobie sprawy, że przegrał? Hitler będzie cierpliwy — będzie czekał, aż realizm położenia utrwali się w twardej angielskiej głowie.

„Czekał miesiąc. Czekał ostatni piękny tydzień czerwca i trzy tygodnie lipca. W Berlinie słyszeliśmy pogłoski, że nawiązano kontakt między Berlinem i Londynem przez Sztokholm i poruszano sprawę pokoju, lecz nigdy nie uzyskaliśmy potwierdzenia tego — w rzeczywistości nie miało to miejsca. 19 lipca Hitler przemówił w Reichstagu! Publicznie ofiarował Anglii pokój, nie podając zresztą jego warunków. Lecz poświęcenie większej części posiedzenia nominacji głównych generałów Hitlera na marszałków, jak gdyby wojna już przeszła, wskazywało iż był on jeszcze pewien przyjęcia pokoju przez Churchilla.

„Luftwaffe rozmieszczona była nad Morzem Północnym i Kanalem przeszedł od miesiąca, lecz niemieckie samoloty nie dokonywały poważniejszych ataków na łód brytyjski. Hitler trzymał je zdala.

„Myślę, że bezwzględna i bezwzględna reakcja Anglii na jego ofertę pokojową była dla niego wstrząśnięciem. Nie był on przygotowany na

(Ciąg dalszy na str. 10)

Odpowiedzi Redakcji

G. L-t. Dziękujemy za recenzję. Nie skorzystamy: znacznie za długa i znacznie przejawająca. Gdy Pan zapewnia, że w widowisku włożono wiele pracy — jesteśmy z całym uznaniem. Gdy Pan mówi, że było wzruszające i widzowie mieli łzy w oczach — wierzymy w zupełności. Gdy jednak pisze Pan o języku „dorastającym niemal do epiki Zeromskiego”, albo wspomina Kochanowskiego i Wyspiańskiego — zaczynamy się niepokoić. Aż gdy po porównaniach jeszcze z klasyczną poezją grecką trafiamy na przykłady w rodzaju:

„...I myślę, że gdy tak swobodnie wznosiłam,
Soki z serc waszych bezpiecznie czerpałam,
To tam, za miedzą stał i olów leli
Dla mej ostatniej, śmiertelnej pościeli...”
albo:
„I wyjdę zwycięska z trumny
Gdy losy nad Niemcami się spełnią...
Kajdany wasze ręce mi zdejmą.
Brat podą rękę bratu —
Będziecie wzorem promienistym światu...”

trudno się nie uśmiechnąć. Nie żebymy nie byli z całym uznaniem dla organizatorów i wykonawców udanego widowiska. Ale trzeba mieć poczucie proporcji.

E. L e c h. Z. Dziękujemy serdecznie za tak dla „Orła” miły list i przesłane wiersze. Te ostatnie, niestety, wydają nam się słabe.

Jerzy. Dziękujemy za artykuł, z którego nie skorzystamy.

Ppor. W-ski. Dziękujemy za „Wspomnienie”. Sądymy, że straciło aktualność wobec ogłoszonej przez nas uchwały Rady Narodowej w tej sprawie.

Halina D-n. Dziękujemy za przesłane utwory, które wszakże nam nie odpowiadają.

Józef D-n. Dziękujemy za przesłane utwory. Najlepszy „Autostop”, ale i tam, jak we wszystkich, łatwości pisania odpowiada niedostatek treści. Czysta liryka w prozie musi być bardzo oryginalna i piękna, by mogła pociągnąć czytelnika.

Stanisław N-a. Dziękujemy za nowelkę „Tadzik” i 2 wiersze, z których nie skorzystamy.

J. K-ra. Dziękujemy za wiersze. Zapewne zamieścimy „Powitanie”, ale prosimy o cierpliwość, bo sporo wierszy leży w tece.

Z-w. K. Dziękujemy za wiersz „Niesmiertelna”, z którego wszakże nie skorzystamy.

L. M. Dziękujemy za „Sztubaczki”. Zamieścimy z nieznacznymi skrótami.

Natomiast wiersz nam nie odpowiada, chociaż jest prawie poprawny (zwłaszcza, gdyby na początku czwartej zwrotki skreślić słowa „O, nie!” (na czym treść nie ucierpi, a rytm zyska).

Michał W-ko. Dziękujemy za wiersze, na pewno nie bez wartości. Wydrukowalibyśmy „Ojczyznę”, gdyby jej tak nie banalizowała przedostatnia zwrotka wraz z tytułem. Czy wiersze Pana mogą liczyć na zbiorowe wydanie z pomocą instytucji publicznych — nie możemy osądzić na podstawie tych dwóch nadesłanych wierszy. Może zechciałby Pan udostępnić nam przejrzenie całego zbioru? Instytucją, która może okazać pomoc jest Centrum Informacji w Jerzolimie, adresować można przez konsulat gen. R. P.

Inż. M. H. P. Dziękujemy za nadesłany materiał. Artykuł, niestety, jeszcze na nasze warunki znacznie za długi. Prosimy o zezwolenie skrócenia go w redakcji do ew. łowskiego numeru. Wiersze nas nie „chwytają”, natomiast załączone rysunki bardzo ładne, chętnie z nich skorzystamy.

REDAKCJA I DRUKARNIA

„ORŁA BIAŁEGO”

SKŁADAJĄ WSZYSTKIM CZYTELNIKOM
SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Angielskie wydanie

„ORŁA BIAŁEGO”

Wraz z niniejszym numerem „Orła Białego” ukazuje się jako Nr 55 E specjalne, angielskie wydanie naszego pisma, przeznaczone dla żołnierzy brytyjskich.

Zawiera ono artykuły, pisane przez angielskich oraz polskich publicystów, a m. in.: „List do żołnierza brytyjskiego”, „Biały Orzeł znowu się unosi” — Johna Wallisa, „Patrzac na polskie tańce” — Stewarta Perowna, „303 eskadra” — Anny Maclaren, „Jak inni na nas patrzają” — I. R. D. (dziennikarza angielskiego w armii brytyjskiej), „Przyszła Polska” — Romana Fajansa, „Sikorski” — M. B. A., „Anders” — Zdzisława Baua, „Polska nadal walczy” i „Polska na morzu” — Zbigniewa Racięskiego, „Wkład Polski do kultury polskiej” i „Migawki o nieznanym Polsce” — Feliksa Lachmana, „Polska Unia Narodów” — R. H., „Pomocnicza Służba Kobiet” — Z. Rodłowicza, „Sport w Polsce” — Ryszarda Mossina oraz inne artykuły informacyjne, cytaty przemówień i wystąpienia polityków oraz publicystów angielskich itd.

Numer poświęcony przyjaźni polsko-brytyjskiej ma na celu udzielenie naszym sojusznikom podstawowych wiadomości o Polsce i jej dążeniach, jak i o polskim żołnierzu. Cały numer obficie ilustrowany wydany został w języku angielskim.

(Dalszy ciąg ze str. 9)

tak szybkie i niedwuznaczne odrzucenie oferty. Myślę, iż wahał się do końca lipca — dwanaście dni — zanim uznał to za ostateczną odpowiedź Churchilla. Lecz wtedy półtora miesiąca cennego czasu było stracone. „Prawdopodobnie większość generałów Naczelnego Dowództwa, zwłaszcza generał von Brauchitsch, głównodowodzący armią i generał Halder, szef sztabu armii, mieli poważne wątpliwości co do szans powodzenia inwazji Anglii przez siły lądowe, zwłaszcza w końcu lipca, gdyż wiedzieli, że Anglicy już nieco ochłonęli po ciotach zadanych im w maju i czerwcu. Problem morski zdawał się nie odpowiadać ich życzeniom. I chociaż Goering, jak to na pewno wiadomo, zapewniał ich, że może zniszczyć RAF w dwa tygodnie, zdawali się oni mieć pod tym względem wątpliwości — jak się w końcu okazało w pełni usprawiedliwione.

„W ciągu lipca Niemcy zbierali barki i pontony na rzekach, kanałach i w portach wzdłuż wybrzeża Francji, Belgii, Holandii oraz gromadzili okręty w Bremie, Hamburgu, Kiel i różnych portach Danii i Norwegii. Powszechnym widokiem na nowych drogach w zachodnich Niemczech były barki diestowskie holowane na walcach ku zachodniemu wybrzeżu. Warsztaty i garaże w całym Niemczech były zajęte wytwarzaniem lekkich opancerzonych pontonów o własnym napędzie, mogących przewozić czołg lub ciężkie działo, lub też kompanie piechoty przy spokojnym morzu (nie przy wzburzonym)

poprzez Kanał. Przed Calais i Boulogne nas widziałem pewną ich ilość. „W noc 5 sierpnia Hitler miał długą konferencję w Kanclerstwie ze swymi głównymi wojskowymi doradcami. Obecni byli Goering, admirał von Raeder, Brauchitsch, Keitel i generał Jodl, członek przybocznego sztabu wojskowego, nader wpływowy w armii od początku ofensywy na zachodzie. Prawdopodobnie Hitler wówczas powziął decyzję inwazji możliwie najwcześniejszej i uzgodnił ostateczne plany z szefami trzech głównych broni.

„Jakie były te plany? Prawdopodobnie nigdy ich nie poznamy. Lecz z tego, co dostało się po trosze do wiadomości publicznej, myślę, iż możemy drogą dedukcji odtworzyć te wielkie plany strategiczne, wówczas wypracowane. Były one ostrożne i zarazem klasyczne. Wielka ofensywa powietrzna przeciw brytyjskiemu lotnictwu miała być rozpoczęta około 13 sierpnia. RAF powinien być wykończony do 1 września. Wówczas dopiero, posiadając zupełną przewagę lotniczą nad Kanalem, by uniemożliwić koncentrację floty brytyjskiej i nad Anglią, by przeszkodzić przeciwdziałaniu artylerii brytyjskiej — przystąpiono by do inwazji. Główna siła sforowałaby Kanał w barkach, pontonach i małych łodziach. Inne okręty, ochroniane przez samoloty, wyjechałyby z Bremy, Hamburga i portów norweskich, aby lądować w Szkocji; byłoby to jednak działanie drugorzędne, zależne od akcji floty brytyjskiej na tych wodach. Inna mała ekspedycja okrętowa z Brest zawiadłaby Irlandią.

Naturalnie działania spadochronowe na szeroką skalę zdemoralizowałyby tyły zarówno w Brytanii, jak i Irlandii. „Armia nie ruszyłaby się, dopóki nie zostałyby zniszczone lotnictwo brytyjskie. Od tego zależało powodzenie wszystkich planów inwazji. Goering obiecał szybkie wykonanie swego zadania. Zgodnie jak wielu Niemców przed nim, popełnił on wielką pomyłkę, nie doceniając brytyjskiego charakteru i stąd wypływającej brytyjskiej strategii. Teraz jest jasne, że opierał swą pewność na bardzo prostym wyrachowaniu. Miał cztery razy więcej samolotów niż Anglicy. Jakkolwiek dobre byłyby angielskie samoloty i ich piloci — których wartość zresztą doceniał — winien tylko atakować przeważającą siłą i gdyby nawet stracił tę samą ilość samolotów, co przeciwnik, w wyniku walki pozostałoby mu jeszcze silne lotnictwo, podczas gdy przeciwnik nie posiadałby go już wcale. A przecież zachodziłoby małe prawdopodobieństwo utraty tej samej ilości co przeciwnik, jeśli atakujemy znaczną przewagą samolotów.

„Goering i inni Niemcy nie byli zdolni pojąć, że Brytyjczycy byli przygotowani raczej widzieć swe miasta bombardowane i niszczone, niż ryzykować wszystkie swe samoloty w kilku powietrznych bitwach w celu obrony miast. Dla niemieckiej wojskowej wyobraźni było to nie do pomyślenia. Jestem przekonany, że właśnie dzięki temu błędnemu sądowi Niemców, tak typowemu dla nich, plan tegorocznej inwazji Brytanii zawiódł.

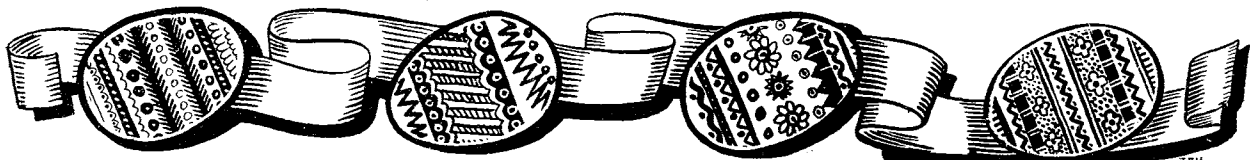
„Aby zniszczyć brytyjską siłę po-

wietrzną, Goering musiał osiągnąć ją na ziemi. Próbował to zrobić. — Kiedy byłem nad Kanalem — w środku sierpnia — posyłał on co dzień po tysiąc samolotów przez Kanał, aby wywabić Anglików w powietrze — nie udało mu się to nigdy. Anglicy trzymali większą część swych samolotów w rezerwie. W wyniku tego cierpieli ich miasta. Lecz RAF pozostawał nieknięty. I niemiecka siła lądowa, skoncentrowana na wybrzeżu, nie mogła wejść do akcji.

„Dlaczego, wielu Niemców tu spyta, nie mogła Luftwaffe zniszczyć RAFu na ziemi? Siły powietrzne Polski, Holandii, Belgii i Francji zostały zlikwidowane przez Niemców niszczących ich samoloty na lotniskach, zanim miały one sposobność wystartowania. Odpowiedź samej Luftwaffe jest bezwzględnie prawdziwa. Lotnicy niemieccy opowiadają mi, że Brytyjczycy po prostu rozrzucili swe samoloty na tysiącu deleko od siebie odległych pól. Zdana siła powietrzna świata, pomimo braku przeszkód, nie mogła odnieść większej ich liczby, aby zniszczyć poważniejszą ilość samolotów brytyjskich.

„Druga przyczyna zawodu Goeringa nie jest tak jasna dla nas tu w Berlinie. Próbował on przez miesiąc, od połowy sierpnia do połowy września, zniszczyć lotnictwo brytyjskie. Usiłował to zrobić w atakach dziennych, ponieważ nie podobna zniszczyć lotnictwa narodu w nalotach nocnych. Lecz w trzecim tygodniu września wielkie naloty dziennie ustały.

D. c. nastąpi



tygodniowy

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH



WOJSKA „OSI” OKOPAŁY się obecnie na górzystym przedpolu Bizerty i Tunisu. Front ma wygląd półkola długości 250 km i biegnie na północy w odległości około 60 km od Bizerty i 80 km na południe od miasta Tunis. VIII armia doszła do miasta Enfidaville na północ od Souste i tam przegrupowuje się. Najcięższe zmagania toczą się w okolicy Pont du Fahs, gdzie walczą Francuzi, pod Medżez el Bab, gdzie Niemcy usiłują nawet przeciwnieierać oraz na skrajnie północnym odcinku. Stoi tam I armia brytyjska.

Na tym więc północno-wschodnim skrawku Tunisu „os” rozporządza według przypuszczalnych obliczeń 220.000 armia, w tym 150.000 Niemców i 70.000 Włochów. Wojska te zajmują dogodne pod względem taktycznym stanowiska i rozporządzają jeszcze 12 lotniskami. Amerykański minister wojny Stimson stwierdziwszy przewagę liczebną i powietrzną sojuszników w Afryce oznajmił, że nie ma jeszcze danych, które wskazywałyby, iż „os” zamierza przeprowadzić masową ewakuację Tunisu, choć być może będzie próbowała dokonać ewakuacji stopniowej, rozłożonej na tygodnie. Minister Stimson spodziewa się jeszcze „ciężkich walk” w Afryce. Inni aliancy rzeczoznawcy wojskowi przewidują, że nowy Stalingrad czeka wojska „osi” przyparte do brzegów Tunisu i odcięte od Europy.

Ewakuacja na Sycylię nie będzie łatwa. Wielka Brytania zdołała po zalamaniu się Belgii i po przebitciu się wojsk niemieckich do Francji w roku 1940 wyewakuować w najcięższych warunkach część swego korpusu ekspedycyjnego z kontynentu uruchamiając w tym celu potężną flotę. Czy Włosi, którzy starają się z nadmierną nawet ostrożnością oszczędzać swoje okręty wojenne i handlowe, rzucą do akcji ewakuacyjnej swe siły morskie, niezbędne do obrony wydłużonych wybrzeży Półwyspu Apenińskiego?

Admirał Cunningham, dowódca floty sojuszniczej na Morzu Śródziemnym, zapewnił, że podległe mu jednostki czuwają bez przerwy u brzegów Afryki. Niemal co nocy dochodzi do starć morskich w pobliżu Tunisu.

Sprzymierzeni tracą tam mniej więcej jeden statek na czterdzieści. Trudno więc będzie Niemcom wy dostać się z tuniskiego potrzasku. Już dziś czynią oni intensywnie przygotowania do obrony południowych Włoch, które wraz z Sycylią i wyspą Pantellarią są stale nawiedzane przez samoloty sojusznicze. Charakterystyczne były również słowa uznania wyrażone przez radio rzymskie VIII armii, którą rozgłoszono nazwała najbardziej nowoczesną i najpotężniejszą jednostką bojową czasów obecnych.

W związku z sytuacją, która wytworzyła się w basenie Morza Śródziemnego, duże zainteresowanie wywołała wizyta głównodowodzącego na Srodkowym Wschodzie gen. Wilsona w Ankarze, gdzie został on powitany przez przedstawicieli głównego sztabu tureckiego, brytyjskiej misji wojskowej, ambasady bryt. oraz przez polskiego i greckiego attaches wojskowych. Gen. Wilson odbywa rozmowy z tureckimi kofami wojsko-

wymi. Podróż jego można traktować jako dalszy ciąg styczynowych rozmów w Adanie, które otworzyły nową fazę w stosunkach angielsko-tureckich.

Ofensywa lotnictwa sprzymierzonych na Europie zachodnią i południową należy dziś do stałych objawów wojennych. W ostatnim tygodniu bombardowano między innymi Duisburg, Stuttgart, Bremę, Mannheim, Pilzno (zakłady Skoda) oraz linie kolejowe w Niemczech, Holandii, Belgii i Francji. Lotnictwo sowieckie dwukrotnie nawiedziło Królewiec oraz bombardowało Gdańsk. Na ogół wszakże na froncie sowieckim trwa stabilizacja,

OŻYWIŁ SIĘ NATOMIAST znacznie front polityczno-propagandowy. Niemcy podjęli na tym odcinku wyraźną ofensywę. Z jednej strony doszło więc do nowej sugestii pokojowej, którą wysunął hiszpański minister spraw zagranicznych Jordana. Amerykański sekretarz stanu Cordell Hull oznajmił, że nie mu o tej pozycji nie wiadomo i że warunkiem zaprzestania wojny pozostaje bezwzględna kapitulacja „osi”. Z drugiej strony Niemcy nie pomijają żadnej sposobności, by nie tylko skłócić sprzymierzonych, ale również skompromitować ich w oczach opinii światowej przez wykazywanie ich rzekomej nieszczerości i niekonsekwencji. W tym celu wykorzystują każdy fakt, który w ich mniemaniu jest dowodem jaskrawej nieojalności jednych sojuszników wobec drugich. Od dłuższego czasu głównych argumentów dostarcza propagandzie niemieckiej polityka sowiecka. Jej wystąpienia przeciwko całości terytorialnej Polski, demonstracyjna nominacja męża Wandy Wasilewskiej Korniejczuka, znanego ze swych agresywnych wystąpień przeciwpolskich, na wicekomisarza spraw zagranicznych, danie Wandzie Wasilewskiej w rękę 100.000 rubli za „działalność literacką” — wszystkie te i inne zarządzenia, mające drażnić Polaków, podchwytuje skwapliwie Berlin i alarmuje nimi cały świat.

Do tego dochodzi obecnie tragiczna, mroząca krew w żyłach sprawa odnalezienia zbiorowych grobów oficerów i szeregowych polskich pod Smoleńskiem. Niemcy nadali temu ponuremu odkryciu rozgłos międzynarodowy, oskarżając Sowietów o wymordowanie tysięcy żołnierzy tej armii sojuszniczej, która pierwszą wojnę z Niemcami podjęła. Organizują oni dostojnie wycieczki z całej Europy, a również z Polski na miejsce kaźni, by przekonać wszystkich o metodach postępowania.

Moskwa zaprzecza twierdzeniom niemieckim oskarżającym z kolei Niemców o wymordowanie Polaków. Do tychczas jednak, jak wiadomo, Moskwa nie dawała wyjaśnień o położeniu polskich oficerów i szeregowych ze Starobilska, Kozielska i Ostaszekowa, o których los była wielokrotnie zapytywana przez władze polskie, co stwierdza oświadczenie ministra Obrony Narodowej gen. Kukiela. Jej obecne, pierwsze na ten temat publiczne oświadczenie przychodzi dopiero po wykryciu grobów przez Niemców. W tej sytuacji rząd polski

zwrócił się do centrali Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie o wysłanie delegacji pod Smoleńsk. Z podobnym wnioskiem wystąpił niemiecki Czerwony Krzyż.

Domagać się tego musimy nie zważając na jaskrawe próby wykorzystania tragedii pod Smoleńskiem przez politykę niemiecką, której motywy i cele są oczywiście najzupełniej przejrzyste. Czynić to musimy nie tylko w interesie własnym. Jedynie bowiem zajęcie wyraźnego stanowiska ze strony wszystkich sojuszników w stosunku do każdej nieprawości i do każdej zbrodni wyrażać będzie Berlinowi broń z ręki i pozwoli utrzymać wysoki autorytet moralny frontu sojuszniczego.

ZAGADNIENIE PRZYSZŁOŚCI TEGO FRONTU jest też nadal przedmiotem wielu wystąpień przedstawicieli naszych zachodnich sojuszników, m. in. lorda Cranborne'a, pp. Crippsa, Sumnera Wellesa i innych. Starają się oni utrzymać właściwą atmosferę ideową obozu sojuszniczego, atmosferę zmacną ostatnio niektórymi wystąpieniami. Teoretyczne wszakże tylko rozważania na temat przyszłości mogą okazać się nie wystarczające wobec coraz bardziej konkretnych faktów bieżących, wymagających reakcji.

Lord Cranborne przemawiał ostatnio w Londynie w imieniu swego rządu na tematy powojenne. Nie wyszedł on właściwie poza sformułowanie premiera Churchilla w zakresie utworzenia Rady Europejskiej i Rady Azjatyckiej. Lord Cranborne uważa, że należy podjąć ideę Ligi Narodów i doprowadzić do powstania siły międzynarodowej, która byłaby zdolna przeciwstawić się w każdym wypadku potencjalnemu napastnikowi. Do nowej organizacji miałyby należeć wszystkie narody ożywione tymi właśnie zasadami, lecz Niemcy, Włochy i Japonia nie będą do niej dopuszczone. Lord Cranborne jest przeciwny tworzeniu już teraz międzysojuszniczej komisji porozumiewawczej i proponuje na razie rokowania we wszystkich tych sprawach

między poszczególnymi rządami uważając widocznie, że sprawy nie dojrzały do traktowania przy wspólnym stole. Lord Cranborne jest nadal zwolennikiem utrzymania najściślejszej współpracy między Imperium Brytyjskim, Stanami Zjednoczonymi, Rosją i Chinami. „W razie — mówi — gdyby doszło do zerwania między nimi, świat pograżyłby się w chaosie”. Najważniejszym i najbardziej pozytywnym wydaje nam się jednak stwierdzenie przez lorda Cranborne, że Wielka Brytania „nigdy już nie obróci się plecami do Europy”.

Po drugiej stronie Atlantyku zabrał dwukrotnie głos podsekretarz stanu p. Sumner Welles. Przemawiając z okazji Dnia Panamerykańskiego oświadczył, że jest również zwolennikiem utworzenia międzynarodowej organizacji nadrzędnej, w której jednak „każda strefa kuli ziemskiej i każdy młujący pokój naród byłby reprezentowany”, przy czym wskazał tytułem przykładu na porozumienie 21 państw amerykańskich na zachodniej półkuli. „New York Times” twierdzi, że koncepcja ta jest szersza od angielskiej, a ponadto współpraca państw amerykańskich jest możliwa dlatego, że St. Zjedn. nie wysuwają roszczeń terytorialnych.

W liście natomiast ogłoszonym w „New York Times”, p. Sumner Welles wywołał, że polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych ma obecnie dwa cele: uzyskanie zupełnego zwycięstwa w czasie możliwie najkrótszym i możliwie najmniejszym ofiarami ludzkimi, a następnie ustalenie sprawiedliwego i trwałego pokoju.

Na razie jednak w Ameryce, jak się zdaje, zwyciężył pogląd odroczenia wszystkich spraw drażliwych i terytorialnych do konferencji pokojowej, by nie utrudniać sobie prowadzenia wojny. Tym tłumaczy się zaprzeczenie przez sekretarza stanu Cordella Hulla pogłosce, jakoby Roosevelt i Churchill uznali za wskazane przywrócić państwo polskie w granicach przedwojennych. „New York Times” stwierdza, że zaprzeczenie jest równoznaczne z ponownym potwierdzeniem polityki Stanów Zjednoczonych nie zawierania żadnych zobowiązań terytorialnych w okresie wojny. „New York Times” zaznacza, że „takie same jest stanowisko polityki brytyjskiej”.

Metoda odroczenia spraw drażliwych może być słuszną, gdyż oczywiście należy czynić wszystko, by usunąć rozdziewki w obozie sprzymierzonych, lecz do zasady tej winni stosować się wszyscy aliancy. Dobra wola jednych nie może być nadużywana przez bezwzględność czynników nie posiadających tych skrupułów. Musi również istnieć siła, która stać będzie na straży autorytetu moralnego zjednoczonych narodów. Siłę tę wytworzyć może przede wszystkim ściśle współdziałanie anglo-amerykańskie, o czym ostatnio mniej się mówiło. Dlatego z zadowoleniem należy powitać wystąpienie lorda Cranborne'a w Londynie na zebraniu nowego stowarzyszenia „Unii mówiących po angielsku”, gdzie ten przedstawiciel rządu brytyjskiego wypowiedział się na rzecz „stanowczego i podstawowego porozumienia między Stanami Zjednoczonymi i Brytyjską Wspólnotą Narodów”. W porozumieniu tym i my widzimy klucz do pomyselnego rozwiązania wojennych i powojennych powikłań.

WIERSZE NAGRODZONE NA KONKURSIE „ORLA BIAŁEGO”

P • O • R • T P • A • H • L • E • W • O I



Zwierciadłem rozlało się morze
I szemrze cicho, jak lira.
Tak trudno uwierzyć mój Boże,
Ze brzeg rosnący — to — Iran .!.

Co mówisz, sygnale portowy?
Serc bicie wystukam Morse!
Dźwiękami wzruszonej mowy
W odpowiedź modlitwę poszlę ...

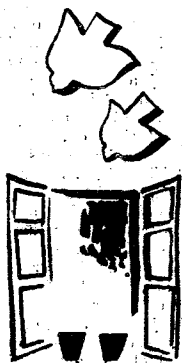
Tak sennie schodzą podróży —
I krążą, i drepcą i śnią.
A okręt wielki i próżny,
Jak symbol ocieka krwią !.

I nagroda

Artur Międzyrzecki



PANIS BENE MERENTIUM



Niektórym trzeba tak wiele
Ażeby szczęśliwi byli.
Majątku, sławy, przyjaciół
I auta i własnej willi.

Ja skromne mam wymagania
I znacznie mniej mi potrzeba.
Tyle dochodu za pracę
By nie zabrakło mi chleba.

Jednego wiernego druha,
Na którym się nie zawiodę.
I w święto szklaneczki wina
Bo bardzo nie lubię wody.

Całkiem małego pokoju
Gdzie cisza mi gospodarzy.
Z oknami na zachód słońca,
Przy którym słodko się marzy.

Pokoju, w którym niech będzie
Tani radiowy kryształek.
I na stoliku codziennie
Tytoń i paczka zapalek.

Bo spokój wieczoru życia,
Bo cisza samotnej celi.
To panis bene merentium
Tych, którzy dużo cierpieli.

II nagroda

Kazimierz Sawicz



Wciąż szukamy ojczyzny, zgubionej w wrześniejących chmurach.
Jej cień wyrasta uad nami, krepą przesłania oczy.
Wszystkie się drogi skłębily i trzeba pisać się po górach,
Po szczytach ostrych, bolesnych za Nią uparcie kroczyć.

Nurtem biblijnych rzek płyniemy ku Tobie, daleka!
Żarliwą znacząc modlitwą każdy nasz dzień tułaczy —
A Ty, jak szczęście wieczne, nieosiągalne uciekasz,
Każąc, przez sen, w gorączce ciągle o Tobie majaczyć.

Siły zszarpane kruszeją. Niewielu już zostało.
Krzyże wyrosły na szlaku — czarne Twe drogowaskazy —
Więc przebacz, prosim, i wróć nam serce, duszę i ciało
Ojczyzna nasza serdeczna! Mario Święta bez zmyzy!

III nagroda

Jan Olechowski



Z NR. 216 MONI: POLI HAAROWIE 2